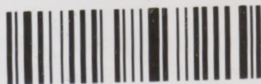

V
B
J
C



Dodatek do Nru 2 „Tygodnika Powszechnego.”

Czy takich wiele?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

PRZEZ

E. Zorjana.



WARSZAWA.

1887.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Января 1887 года.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 1530 (26 nowy).

CZY TAKICH WIELE?

Znowu stanęła przed zwierciadłem i spojrzała na swój obraz. Na tle płaszcza, utworzonego z rozwianych, bujnych włosów, odbijały się śnieżnie białe, ale szczupłe ramiona. Rysunek piersi poprawny lecz bardzo jeszcze skąpy, ubogim musiał się wydać w obec bogactwa rozbujałych włosów. Spostrzegła to odrazu.

— Ach, to dla tego! — zawołała z płaczem i rzuciła się na łóżko.

Długo nie mogła się uspokoić. Wreszcie wstała i znowu zbliżyła się do zwierciadła.

— To niesprawiedliwie, niegodziwie przecież... Czuła nadchodzący ból głowy. Była bezsilną, złamaną i smutną. Samotność i cisza nie dawały ni spokoju, ni ukojenia tajonego bólu. Zdawało jej się, że ją cały świat opuścił, a jednak za nic nie chciałaby teraz widzieć się w obec ludzi, ich wesołości, gwaru. Zbliżyła się do okna i pociągnęła sznurek od rolety. Blade, zimne światło zimowego zarania ukazało się jej oczom. Niebo szare, mgliste, nigdzie ani odrobiny barwy. Uczuła jeszcze większy smutek. Puściła sznurek, roleta z szumem opadła

— Trzeba się położyć, mama będzie się gniewała gdy pozna, żem nie spała.

Usiadła na krawędzi łóżka, zdejmując pantofelki. Światło lampy padało na nią, widziała całą swą postać odbitą w wielkiem lustrze.

— O, oni mają racyę—zawołała płacząc i padła na poduszki.

Wkrótce usnęła, lecz nie uspokoiła się. Przez sen coś mówiła. Światło lampy, przez zapomnienie

nie przysłoniętej nocnym abażurem, drażniło jej powieki, więc odwracała się nie budząc. Rzucając się niespokojnie, szarpnęła sznur jedwabny kotary, która z szelestem opadła i zasłoniła śpiącą. Teraz dopiero, ciemnością otoczona, uspokoiła się i spała do południa.

Józia wchodząc do pokoju nadeptała na suknię, porzuconą na podłodze, potem omal nie zgniotła szpilki brylantowej od włosów. Bielizna leżała w nieładzie, budzącym podziw służącej.

— Co się panience stało? — myślała.— Panna porządna, systematyczna... wszystko rozrzuciła, niezgasiła lampy, ani jej nawet nie przysłoniła... Może? A może nie chciała mnie zatrzymywać, wiedząc, że całą noc nie spałam?...

Usłyszała ruch za kotarą.

— To ty, Józiu?

— Ja, proszę wielmożnej panienki.

— Czy już późno?

— Dwunasta.

— Mama wstała?

— Już się kończy ubierać.

Szybkim ruchem odrzuciła Helena kotarę i wyskoczyła z łóżka.

Myła się i ubierała starannie przy pomocy służącej. Przy czesaniu zapytała Józia.

— Pewno się panienka dobrze na balu bawiła.

— Bardzo.

— Ale bo też panienka ślicznie wyglądała. Pewno wszyscy panowie głowy tracili?

— Nie brakło pięknych.

I.

Poprzedzana przez zgrabną, lecz zaspaną pokojówkę, szła ociężale. Migotliwe światło lampy rysowało wielki, bezkształtny ruchomy jej cień na ścianach korytarza. Służąca otworzyła drzwi, z których pomimo ciężkich portyer wydobyła się jasna smuga światła.

Weszły do pokoju.

Postawiwszy lampę na stoliku, pospieszyła pokojówka, by zdjąć z swej pani futro i okrycie głowy, lecz ku wielkiemu zdziwieniu zobaczyła te przedmioty na dywanie, wyścielającym cały pokój.

— Panienka pewno zmęczona — odezwała się do swej pani, która spoczywała na fotelu.—Najlepiej zaraz się położyć.

Jakby dla zachęty rozsunęła kotary adamaszkowe, obszyte koronkami i ukazała łóżko najwytworniejszą zasłane pościelą, pełną haftów i koronek.

— Dziękuję ci, Józiu — rzekla panna Helena, podnosząc się z fotelu—pójdź spać, rozbiorę się sama,

— Może bodaj włosy ułożyć?...

— Nie, nie, idź spać, pewno czekałaś na mnie.

Józia poprawiła jeszcze wstążki leżącego na krześleননpenioru, wzięła lampę, z którą była przyszła i życząc panience dobrej nocy, cicho wysunęła się z pokoju.

Helena stała przez chwilę, jakby senna; potem szybko, niecierpliwie poczęła zdejmować wspaniałą balową suknię, rzuciła sznur pereł na toaletę i zapomniawszy włożyć szlafroczek, usiadła przed dużem zwierciadłem. Zrazu bezmyślnie, potem uważnie przypatrywała się sobie, nie pomijając nawet najdrobniejszego szczegółu rysów, figury i cery. Żaden rozkochany kandydat do ożenienia nie byłby jej w tem studyowaniu dorównał.

Badała swą urodę z ścisłością anatoma, ze znawstwem artysty, z bystrością kobiety i... widocznie badanie nie wydało pożądanego rezultatu.

— Chciałabym wiedzieć dla czego?...—mówiła sama do siebie. Nie dokończyła zaczętego zdania, porwała się z krzesła i szybko chodziła po pokoju.

Cisza otaczała ją. Odgłos kroków tonął w miękkim dywanie, szelest odzieży pochłaniały ciężkie adamaszkowe portyery, zasłaniające drzwi i okna. Nawet najodleglejszy turkot nie dolatywał o tej porze. To jej bynajmniej nie uspakajało. Chodziła tam i napowrót, potrącając czasem krzesła. Myśl jakaś nie dawała jej spokoju, plątała się po głowie, sprawiała ból.

Rozpuściła włosy, gęste, długie, szaro blond, spodziewając się, że jej to ulgę sprawi.

panienka zeszła do salonu o drugiej. Pewno dziś będzie wiele gości. Którą suknię każe panienka podać?

— Kremową z kaszmiru.

Stroiła się z uwagą, jakby po za tem nic jej nie zajmowało, żadna inna myśl nie zaprzątała głowy.

O drugiej zeszła na pierwsze piętro, gdzie były apartamenta matki i salony.

W buduarze, urządzonym wykwintnie, z widocznym smakiem artystycznym, zastała matkę.

Pani Rudzka miała lat trzydzieści pięć, ale trudno ją było o to posądzać. Była piękną w całem słowa tego znaczeniu. Ci, co ją dawno znali, twierdzili, iż w wiosennych latach nie zapowiadała tak świetnej piękności. Była wątła, szczupła; do dwudziestego czwartego roku życia wyglądała jak panienka ośmnastoletnia. Rysy miała piękne. Później dopiero rozwinęła się wspaniale. Zmężniała, nabrała tej powabnej okrągłości ciała, która nawet mizantropom się podoba; ożywiły się jej rysy, oczy nabrały wymownego blasku, cerę zachowała świeżą, a jeśli straciła wygląd naiwnej dzieweczki, to wcale nie miała powodu żałować tej straty. Lata mijały, a pani Rudzka była zawsze piękną. Trudno było wierzyć, że ta kobieta miała dwie córki, z których starsza liczyła lat siedmnaście i właśnie wchodziła w świat.

Nie dla powagi wcale włożyła pani Rudzka dziś czarną suknię. Nic jej wprawdzie nie można było zarzucić, ale co prawda, macierzyństwo wcale

nie licowało z panią Rudzką. Lubiła się bawić— jeśli na co mogłaby się żalić, to na zbytek tancerzy. Trudno ją było dojrzeć w tłumie czarnych fraków, lecz właśnie po tym natłoku mężczyzn można było poznać, w której stronie salonu się znajdowała. Kiedy Helena upadała bezsilna na fotel, odmawiając tancerzom dla rzeczywistego zmęczenia, matka jej, jak gdyby dopiero rozpoczynała bal, płynęła wsparta na ramieniu tancerza w walcu lub w polce. Usta jej rozkosznie się rozchylały, oczy płonęły, to znowu nabierały blasku aksamitu i niby marząc obiegały salę do koła. Kobiety z zazdrością za nią patrzyły, a w mężczyzn zmęczonych, bezsilnych, wstępowały siły, zapał; porywali panie w taniec, marząc o szczęściu przetańczenia potem choć raz z uroczą królową balu. Tego tytułu nikt jej nie mógł odmówić. Była królową zupełnie zasłużenie.

— Nie zmęczył cię Helenko, wczorajszy bal?— zapytała matka wchodzącej córki, całując ją z lekka w głowę.

— O, nie, mamo.

— Obawiałam się tego, wszak to twój pierwszy występ na wielkiej arenie.

— Który minął nawet bez tremy...

— To mię cieszy, moja mała dowcipnisio. Uważałam żeś się dobrze bawiła.

— Dość.

— A zdobyczy wiele?—pytała matka z uśmiechem.

— Nie starałam się o nie.

— To źle—mówiła pani Rudzka niemal z po-

— Ale takiej jak panienka nie było...

— Pierwsza matka moja ładniejsza.

— Co prawda, wielmożna pani bardzo piękna.

— A widzisz!

— No, ale to zawsze co innego panienka, a mama panienki — wtrąciła sprytna pokojówka z uśmiechem.

— Mama stanowczo piękniejsza.

— Ej, proszę panienki, piękności Pan Bóg nie poskąpił paniom, ale siedmnaście lat to coś znaczy...

Helena chciała coś powiedzieć, a choć lubiła gawędzić z Józią, wstrzymała się.

Kazała sobie podać herbatę do swego pokoju; gdy Józia wyszła, rzekła sama do siebie.

— I mnie się tak zdawało, a jednak... Muszę zbadać co w tem jest. Bez powodu tego nie mówili. Zresztą to było widoczne...

Po herbacie została Helena w swoim buduarze, który był obok sypialni. Wzięła książkę do rąk, chcąc przepędzić czas, który jej jeszcze pozostawał. Józi kazała przyjść o w pół do drugiej.

— Powiedz mamie, że do salonu wyjdę, lecz muszę jeszcze wypocząć trochę.

Czytywała wiele — naturalnie romanse i to przeważnie nie polskie. Osobliwie po wesoło spędzonym wieczorze na balu, bawiła się dziwacznemi nieraz przygodami powieściowych figur. Dziś wszakże nie mogła pochwycić wątku; myśli jej odbiegały od książki. Miała ważne jakieś własne spostrzeżenia, myśli ważniejsze od zwodzeń książkowych zaprzątały jej głowę.

Pochylona na balzaku, z książką w ręku, patrzała przed siebie i myślała. Czoło wysokie i gładkie, jakby w marmurze rzeźbione, marszczyło się pod wpływem zadumy, chwilami ściągały się brwi gniewnie, potem bezradność przebijała się w rysach i spojrzeniu. Jakby przypomniawszy coś sobie, rzuciła książkę na posadzkę i pobiegła do kosztownie rzeźbionej szafy. Tam mieściła się jej biblioteka. Szukała pospiesznie, a znalazłszy upragnioną książkę, poczęła szybko przewracać jej karty. Na jednej z nich stanęła. Widocznie tu było źródło wiedzy czy natchnienia potrzebnego w tej chwili. Oczy przebiegały chciwie po karcie. Zdawała się pochłaniać co autor napisał. Pierś jej podnosiła się szybko, gwałtownie. Po przeczytaniu kilkunastu stronnic, wzięła drugą książkę, którą z temże samem zajęciem przerzucała.

Nie czuła zmęczenia po bezsennej nocy. Cała jej istota skupiła się w głowie i wzroku. Zapomniała o wszystkiem, prócz o tej jednej myśli upartej, która jej nie dawała spokoju.

Stała ciągle pochylona nad książką. Od czasu do czasu wymykały jej się słówka: Tak, tak... Ależ to niesprawiedliwie!...

W tej postawie zastała ją Józia, wchodząc o w pół do drugiej. Helena nie spostrzegła jej wejścia. Czytała jeszcze ciągle. Dopiero gdy Józia zbliżyła się, by podjąć książki porzucone na dywanie, ocknęła się.

— Czy już pora ubierać się?

— Tak proszę panienki. Pani prosiła, aby

— I nie przypuszczasz pan w swym sądzie omyłki?

— To ma znaczyć?...

— Że bynajmniej nie jestem smutną. Opanowało mnie raczej zamyślenie, którego pozbyć się nie umiałam, wchodząc do salonu.

— Sądzę, iż salon tak samo może być miejscem myślenia i zamyślenia, jak i zaciszny pokój mieszkalny.

— Przeciwnie, wiesz pan o tem dobrze, iż salon i myślenie, jak się pan wyraziłeś, nie powinny iść w parze...

— Nie *powinny?!*

— Tak, w salonie myśleć nie wypada...

— Widzę teraz jasno, iż pani pragniesz odebrać mi monopol ironii w salonach—rzekł z uśmiechem August.

— A gdybym istotnie taki zamiar miała? Wszak z góry mogę przyjąć, iż broń, której pan używasz, jest dobrą.

— Trochę niesprawiedliwie mnie pani dotknęłaś, ale kładę to na karb szybkich postępów, które pani od wczoraj zrobiłaś.

— Mówię to, co o panu wszyscy powtarzają.

— Pomimo tego, ta opinia nie jest sprawiedliwa. Prześladują mnie wszyscy mianem poważnego, kostycznego, ba nawet złośliwego człowieka. Czy zasłużenie? Mógłbym panią o to zapytać, gdybym przed chwilą i z ust pani tegoż samego nie usłyszał. Przyznaje się, iż pragnąłem, abyś pani właśnie mniej pochopną była w osądzeniu mnie. Zarozumia-

łym jestem, powtarzając słowa poety: jeśli gryzę, to sercem gryzę... ale to nie przechwałki, lecz szczere me przekonanie. Może powtórzenie sądu innych przez panią najmniej dla mnie było pożądanem, dziś najmniej się tego spodziewałem...

— Dla czegoż dziś właśnie?

— Widziałem panią smutną, czy zamyśloną, a tacy ludzie nie zwykli potępiać ogólnikami.

— Cieszę się, iż raczyłeś mnie pan zaliczyć do ludzi...—rzekła Helena z przekąsem—bo dotychczas zdawało mi się...

— Proszę mówić szczerze, śmiało.

— Miałeś mnie pan za coś innego.

— Istotnie.

— Nigdy dotąd nie dostąpiłam zaszczytu rozmawiania z panem tak poważnie. Wolno wiedzieć dla czego?

— Bo byłaś pani... dzieckiem.

Rysy Heleny drgnęły kurczowo, jakby je targnęło uczucie nie miłe.

— Tłumaczysz się pan przynajmniej szczerze, bez ogródki.

— Postępuję tak prawie zawsze, sądząc, iż to nie powinno nikomu być przykrem.

— Nawet odsądzenie kogoś od godności rozmawiania z panem o rzeczach poważnych?

— Czyż sam fakt, iż zaniechałem dawnego postępowania z panią, nie jest dostatecznem zadośćuczynieniem.

— W żadnym razie nie może być miłą świadomość, iż myliliśmy się czas jakiś, może nawet dość długi.

wagą—tryumfy kobiety, to jej potęga, jej wszystko. Jesteś piękną, a piękna kobieta może władać światem... i powinna.

Służący oznajmił przybycie gości.

Panie weszły do salonu. Matka z czułością niemal, a zarazem z wielką godnością witała jedną z swych przyjaciółek. Rozmowa potoczyła się gładko, szybko, z prawdziwą maesteryą. Naturalnie, mówiono przeważnie o balu.

Wkrótce salon pani Rudzkiej zapełnił się. Był to dzień jej tygodniowych przyjęć. Panie i panowie spieszyli do uprzejmej, pięknej, miłej i wesołej gospodyni. W obec przymiotów pani Rudzkiej nie pomawiano nawet młodzieży o chęć zbliżenia się do jej domu przez wzgląd na Helenę. Do niedawna mało ją widywano. Była podlotkiem, potem ukazywała się czasem na małych wieczorach, wreszcie widywano ją częściej — wczoraj dopiero po raz pierwszy była na wielkim balu. Było to pasowanie jej na dorosłą pannę na wydaniu. Ale pod wpływem tysiącznych pobalowych wrażeń, mało na ten doniosły fakt zwrócono uwagi.

— Ach, jak czarującą byłaś wczoraj, moja kochana!—mówiła do pani Rudzkiej jedna z jej przyjaciółek.

— Pochlebiasz, moja droga.

— Przysięgam, że nie. Wszyscy tylko w ciebie się wpatrywali.

— Zapominasz, że to smutny był dla mnie jako kobiety bal. Byłam matką dorosłej córki...

— A, Helenka, to jeszcze dziecko!...

Helena słyszała te słowa. Mimowoli zacisnęła usta i rumieniec oblał jej twarz. Nie słuchała nawet co dalej mówiono. Pedeszła w drugą stronę salonu, w której była prawie oranżerya.

Najwspanialsze rośliny, ugrupowane artystycznie, małe i wielkie, tworzyły ogród. Salon w tem miejscu schodził się kolistą werandą, teraz hermetycznie zamkniętą, pełną krzewów i kwiecia. Na grubych kryształowych szybach rysowały się fantastyczne kwiaty, wyhaftowane przez mróz. Podczas gdy w salonie rozkoszne ciepło pozwalało zapomnieć o istnieniu zimy, tu było chłodniej, ale dla podrażnionej nieco Heleny przyjemniej.

Podczas gdy pani Rudzka, w czarnej sukni, jak motyl ruszała się na tle złocistego adamaszku mebli i obicia, srebrzystym śmiechem objawiając wesołość i rozweselając otaczających ją, Heleny postać jasna rysowała się poważnie na tle ciemnej zieleni krzewów. Ciekawy to był kontrast, matka i córka!

Z pomiędzy wszystkich gości, jeden tylko zwrócił uwagę na tak wyraźną różnicę pomiędzy panią Rudzką, a jej córką. Widząc tę ostatnią osamotnioną, zbliżył się do niej.

— Pani jesteś smutną?—zapytał.

— Nie powinno to pana dziwić, pana, który jak słyszałam, nie wiele wierzy w stałość humoru kobiet, a może i w stałość ich poglądów na życie?

— Sądzi mnie pani tak jak innych wielu, to mnie nie dziwi, ale smutek pani jest dla mnie prawdziwą niespodzianką.

— Mnie naprzykład zdawało się już dawno, że jestem człowiekiem, a tymczasem odkrywasz mi pan straszną omyłkę i przyznajesz tę godność dopiero od wczoraj!...

— Może to ja myliłem się?...

— Pan? Cóż znowu, jesteś nieomylnym! — zawołała Helena z patosem.

— Szyderstwo pani nie obrazi mnie — rzekł August z powagą.—Mogę się pani wytłumaczyć, dla czego od dziś dopiero widzę w pani człowieka.

— Ciekawam istotnie.

— Wczoraj, na balu już, widziałem przebłyski budzenia się duszy w pani. Lecz mogłem się mylić. Chwilami zjawiał się na czole pani nieznany mi dotąd mars, jakby tam w głowie nagle silne myśli zaczęły się skupiać. Ale... zdawało mi się znowu po chwili, że to były tylko objawy... gniewu...

Helena pobladła w tej chwili nieco, czego jednak August nie spostrzegł.

— Dziś wszakże—ciągnął dalej—widzę, iż te przebłyski nie były złudne. Znajduję panią, jak nigdy dotąd, poważną, zdawało mi się smutną. Że zaś nic podobnego dotąd w pani nie spostrzegłem, więc od dziś dopiero datuję w pani człowieczeństwo. Kobieta, jak każdy człowiek, dopóki się tylko śmieje, ani na chwilę nie zasępi czoła głęboką, poważniejszą myślą, jest dla mnie tylko dzieckiem.

— Jaka szkoda, że matka moja pana nie słyszy!—zawołała Helena—ona, która zawsze jest wesołą, śmiejącą się i rozweselającą wszystkich!

— Posłuchaj pani rozmowy swej matki, a wtedy przyznasz, iż do dzieci jej nie zaliczam.

— Rozmowę?

— Tak, bo w niej najlepiej odbija się wartość człowieka, ona najsilniej na nas działa, co więcej, ujarzmia nas. Matka pani posiada pod tym względem znakomite zdolności i dla tego króluje po nad wszystkimi. Duch jej piękny i silny iskrzy się w rozmowie, która porywa każdego. Tem sobie tłumaczę fakt, iż dotąd nie znalazła rywalki w salonach, gdzie piękność popłaca, nawet w najbardziej uroczej... dziecinie.

— Straszny pan jesteś!

— Czy dla pani?

— Może...—Uśmiech zaigrał na jej ustach.

— Nie chciałbym, aby tak było. Postrachem niejedna się ludzi, a przecież jednanie ich sobie do najwyższych pragnień należy.

— Przyjaciół panu nie brak.

— Zaręczam, że się pani myli. Zbyt często mówię prawdę i to, co myślę, a tem zrażam sobie ludzi. Sama pani nazwałaś mnie strasznym, dla tego, że myśli mych nie ukryłem.

— Źle mnie pan zrozumiałeś. Nazwałam pana strasznym, lecz nie odstraszającym. Słuchając pana, lękam się czegoś, ale zarazem czuję, jaki silny słowami swemi wywierasz wpływ. A to czasem bywa strasznem...

— Nie chciałbym, aby tak było i chcąc sprawdzić ów wpływ, proszę o wytłumaczenie mi powodu smutku swego... czy, jak pani chce, zamyślenia.

— A jeśli powodu nie było?

— To być nie może, bez powodu nic nie istnieje, może wszakże zachodzić wypadek, iż pani sama przyczyny wyjątkowego usposobienia nie zna jeszcze.

— Tak jest istotnie. Może to reakcya po szalonej wesołości balu, wywołała zamyślenie, dość, że w tej chwili uczułam potrzebę samotności, męczyłam się przysłuchiwaniem rozmowom, czułam brak czegoś, czego nazwać nie umiem. Sama nie wiem, czy to można brać za smutek.

— Dziękuję pani, panno Heleno, za szczerość, przepraszam, żem był w takiej chwili natrętnym. Jestem znacznie starszym od pani i niezupełnie złym, więc może współczucie mnie tu wiodło, może nadzieja, iż będę mógł być pani pomocnym. Sądzę, że mi pani przebaczy...

— Nie, lecz podziękuję za życzliwość.

Przerwano im rozmowę, która możeby się jeszcze długo ciągnęła. Ale próżno, córka gospodyni domu, jak i August byli w towarzystwie zbyt pożądanymi, aby ich długo pozostawiono w spokoju.

Po chwili pożegnał panią domu i wyszedł.

II.

Dnia tego powrócił August do domu w bardzo dobrym humorze. Posępnym nie bywał nigdy, lecz dziś, czuł wesołość w sobie niezwykłą. Nucąc przechadzał się po pokoju i myślał; uśmiechał się, jak wówczas, gdy był szczerze zadowolonym. Niewątpliwie rozmowa z Heleną tak go usposobiła. Znał ją oddawna, chociaż dopiero w ostatnich czasach częściej widywał. Pamiętał ją, gdy była jeszcze dzieckiem i przyjeżdżała z ojcem i siostrą do babki, która miała majątek obok jego ojca.

Ojciec Augusta, eks żołnierz, cieszył się wielkimi względami u pani pułkownikowej i jako sąsiad często ją odwidzał. Podczas feryi szkolnych brał z sobą syna, który ciekawie przysłuchiwał się rozmowie starszych. Były to przeważnie gawędy o dawnych czasach, o ś. p. pułkowniku, pod którym ojciec Augusta służył, a który dla pozostałe wdowy był ideałem męża, ojca i człowieka.

— O tobie, rotmistrzu — mawiała pułkowniko-

wa—nie da się nic złego powiedzieć, aleś jeszcze nie to, co nieboszczyk pułkownik.

Zawsze męża pułkownikiem nazywała i bolała nad tem, że syn jej w wojsku nie służył.

— Stach niczego chłopiec, ale szkoda, że w wojsku nie służył, byłby pdobny do pułkownika.

Tu następowały westchnienia kapitana i pułkownikowej, a jeśli przy tem był obecny stryi Augusta, major, także podkomendny nieboszczyka pułkownika, a zwierzchnik brata swego, to zrywał się z krzesła, rękoma machał i takiemi krokami zmierzał pokój, jakby zamyślał dom cały zawalić.

— No, no, majorze—mówiła gospodyni domu, łagodząc jego wzburzenie.

— Daj mi pani pułkownikowa święty pokój z swojem no, no... Szewska pasya człowieka porywa, gdy sobie wspomni...

Ale w tej chwili uspokajał się czując, że niewłaściwie zachowuje się w obec *pułkownikowej*—wszak był tylko majorem, a znał rygor i po śmierci swego komendanta, wdowę po nim uważał jako zwierzchniczkę. Zbliżał się tedy, jak umiał najciszej i całował pułkownikowę w rękę. Dla poskromienia ruchów siadał i patrzał przed siebie, dopóki pułkownikowa nie poprosiła go, by zapalił fajkę. Inaczej byłby się męczył cały dzień, choć tytoń lubił namiętnie.

Pułkownikowa nie gniewała się za te wybuchy poczciwego majora, owszem, ceniła go za nie jeszcze więcej i z uśmiechem szeptała:

— Zupełnie jak nieboszczyk pułkownik...

W takiem towarzystwie spędzał August uroczyste dnie wakacyi. Ojciec miał go jednego tylko i kochał ogromnie, wszędzie brał z sobą, a pułkownikowa chętnie widywała u siebie malca.

— Niech słucha, aby umiał kochać i szanować tych, co przed nim byli. Tym dzisiejszym paniczom w mieście wychowanym, smarkaczom, z przeproszeniem, zdaje się, że od nich dopiero świat się zaczyna, mądrale!...

Zrzędziła chwilę, potem przywoływała Augusta do siebie, głaskała i pytała czy nie lęka się koni.

— Nie, proszę pani pułkownikowej.

— A czy wiesz jak się na konia wsiada?

Chłopcu oczy się tylko zaśmiały.

— Umiem jeździć.

— Ho, ho, kawalerze, umiesz jeździć! Albo ty wiesz, co to znaczy jazda?

Ojciec Augusta pokręcał z dumą wąsa.

— Niech pani pułkownikowa dobrodziejka przekona się. Malec siedzi, jak przykuty.

Wtedy pułkownikowa kazała osiodłać wierzchowca, a miała ich zawsze kilka i sama stojąc na ganku, przypatrywała się harcom kilkonastoletniego chłopca.

Stary masztalerz, były wachmistrz (cały dwór pułkownikowej pełen był ex-kawalerzystów) wyciągał szyję naprzód i nie spuszczał oka z Augusta.

— Pewno konia znarowi, ot, ot, już spada...

Tymczasem August popędził w wjazdową aleję, znikł z oczu patrzących, a po chwili jak piłka

skoczył z koniem przez płot żywy, podjechał galopem pod ganek i osadził konia na miejscu.

— A, do stu tysięcy! niechże cię nie znam!—krzyknął wachmistrz—to jeździ!

Pułkownikowa była cała rozpromieniona, łzy miała w oczach. Ucałowała Augusta i... darowała mu konia, na którym tak dzielnie się spisał.

Rotmistrz protestował, ale nic nie pomogło, musiał dar przyjąć, z warunkiem, że August zawsze wierzchem będzie przyjeżdżał do pułkownikowej.

Nieboszczyk Rudzki nie często i to na krótko bywał u matki. Pół roku przesiadywał w mieście; majątek miał daleko. August bardzo go szanował, tembardziej, że ojciec i stryj chwalili go.

Zacny, prawy, trochę rubaszny, był doskonałym gospodarzem, co mu bynajmniej nie przeszkadzało czytać wiele i zajmować się sprawami, dotyczącemi ogółu. Wychowany po wojskowemu przez ojca, a jeszcze bardziej po tegoż śmierci przez matkę, cenił przedewszystkiem odwagę w wypowiadaniu zdania. Za prawdę gotów był dać się porąbać. Tylko w obec matki schylał zawsze głowę, uznając to, co ona powiedziała, lub zrobiła dobrem. Zakochał się i ożenił z panną bardzo piękną, choć niezbyt bogatą, lecz nie zważał na to. Gdy matka okazała się małżeństwu temu przeciwną, zamilkł, z podwójną gorliwością zajął się gospodarstwem, ale cierpiał widocznie. Nie jadł, nie spał, poprostu dla tego, bo nie mógł, lecz nie chciał się sprzeciwić matce. Dopiero, gdy ta sama wszczęła rozmowę

powiedział, że kocha, z inną się nie ożeni, ale będzie matce posłusznym.

— Ej Stachu, Stachu, a jeśli nie będziesz szczęśliwym?—mówiła matka z czułością.

— Boska wola to rozsądzi, ale nie mogę nawet myśleć o innej kobiecie.

— Czy dałeś słowo?

— Nie, matko, bez twego pozwolenia czyżbym mógł?

Ucałowała go i nazajutrz pojechała z nim po synowę.

Nigdy do niej serca nie miała. Przeczuwała, że Stach nie zupełnie jest szczęśliwym, lecz nie mówiła z nim o tem. On się też nigdy nie skarżył. Kochał żonę bardzo, zawsze jednako i wszystko gotów był dla niej uczynić. Tylko do życia, jakie ona wprowadziła w dom jego, nie mógł przywyknąć. Był za ciężkim do salonu, na czcze gadaniny nie miał czasu; sam zajmował się gospodarstwem i potrzebami domu.

Czuł czasem, że mu czegoś brak, że mogłoby być inaczej, lecz uznawał w tem co było wolę boską i nie szemrał. Dzieci kochał bardzo. Ile razy mógł, zabierał je do swej matki, która szczególniej upodobała sobie młodszą, Bronkę. Ojciec może nie chciał się przyznać, że sam wolał tego zuchowatego dzieciaka, któremu bystrość i męzka prawie odwaga patrzyły z oczu.

Po dziesięciu latach małżeńskiego pożycia, zachorował Rudzki, właśnie będąc u matki. Dotąd nie wiedział, co to choroba i lekceważył ją. Nie

wzywano lekarza, spodziewając się, że cierpienia przejdą same. Po kilku dniach wszakże pogorszył się stan o tyle, iż wezwano nie tylko lekarza, lecz żonę i dzieci.

— Chcę ich jeszcze zobaczyć — mówił — bo choć ciebie mam przy sobie, matko, smutno mi jakoś...

Nie chciała nawet nic podobnego przypuszczać. Toż samo żona, przyjechawszy, nie dała mu nawet mówić o śmierci. On wszakże czuł, że już nie długo ma bawić na tej ziemi. Testament miał dawno gotowy. Przejrzał go jeszcze i w dwa tygodnie po zachorowaniu dysponował się na śmierć.

Pułkownikowa, tak mężna zawsze, rozpłakała się.

Całował ją po rękach i uspakajał.

— Pułkownika straciłam tak wcześnie, a teraz ty chcesz odejść, osierocić mnie, opuścić, aby nie było komu zamknąć mi powiek...

— Nie płacz matko, Bóg cię snać wybrał, byś wiele ofiar poniosła. Nie ma tu co robić na świecie, jam nie bardzo potrzebny... Gdybym był miał syna... Z córkami matka da sobie radę...

Żona siedziała zgnębiona, bezradna, walcząc z chaosem uczuć i myśli. Dzieci płakały, czując więcej, aniżeli rozumiejąc, ile w tej chwili tracą.

Rudzki leżał z przymkniętemi oczami i modlił się. Potem odezwał się słabnącym głosem.

— Matko, tyś mnie bardzo kochała, zrób mi jeszcze jedną łaskę... weź Bronkę do siebie, wychowaj ją dobrze, niech ona zastąpi ci wnuka... Niech jedna wnuczka pułkownika po żołniersku się wycho

wuje, ona ma do tego zacięcie... Zobaczysz jak ją stary Bonifacy nauczy jeździć i szablą machać...

Uśmiechnął się łagodnie.

Pułkownikowa spojrzała na synowę.

— Zróbcie to, proszę was—mówił umierający.

Babka przytuliła dziecko do piersi i łkając rzekła:

— Będzie taką jak ty, Stachu...

Jedną dłonią ujął rękę matki i do ust ją przytulił, drugą złożył na głowie szlochającej żony i szeptał:

— A teraz naprzód, marsz!..

Gorączka go podniecała.

— Matko—zapytał—jak ja, com ani dzień pod sztandarami nie służył, stanę do apelu przed pułkownikiem?...

Głośne łkania odpowiedziały mu.

Osłabł znowu, ostatnia gorączka ustąpiła i wśród szeptu:

— Najświętsza Panno, królowo, matko nasza, bądź mi orędowniczką...

Skonał.

August był w tej chwili daleko od stron rodzinnych i wrócił dopiero w pół roku, przywołany telegramem stryja.

Zastał ojca umierającego. Wskutek silnego uderzenia usunęła się kula, nie wydobyta niegdyś i sprowadziła śmierć.

Pułkownikowa nie odstępowała towarzysza swego męża. Rotmistrz umierał spokojnie, z uśmiechem na ustach.

— Nie lamentujcie nademną, kiedym wesoły. Lada chwila stanę w szeregach naszej wiary, pokłonię się pułkownikowi... Dajże majorze — mówił do brata — mundur, bo przecież nie myślę we fraku stawać na tamtym świecie...

Następnego dnia był August sierotą. Z pułkownikową często rozmawiał o ojcu, zasięgał jej rady, pomagał uczyć Bronkę, słowem, uważał dom jej, jakby własny. Wesoła i smutna dola zbliżyła ich ku sobie; uważał się prawie za krewnego zacnej matrony.

W jej domu widywał czasem panią Rudzką i Helenę. Dwa lata spędził jeszcze za granicą, potem dopiero osiadł na gospodarstwie, wspierany radą stryja, który krzepko się trzymał. Pracował wiele, czytał, uczył się, bywał często w stolicy i cieszył się mirem u wszystkich poważnych ludzi. Sąsiedzi, choć był młodym, szanowali jego zdanie, cenili prawość i całą swą miłość, jaką mieli dla ś. p. Rotmistrza, na syna przelali. Nie robiono z tego tajemnicy, że jak tylko August skończy lat trzydzieści, a znajdzie się wakans, zostanie wybrany posłem na sejm.

Pracą rzetelną i powagą wrodzoną zasługiwał na ten dowód zaufania. Oddawał się ekonomii politycznej i zasilał swemi pracami jedno z najpoważniejszych pism. Wiedziano o tem powszechnie, że jego artykuły dały impuls pewnemu gronu posłów, do utworzenia oddzielnej grupy w sejmie.

Będąc osobiście nieskalanie prawym, lubiąc pracę i wierząc, że ona jedynie zbawia, nie mógł

się powstrzymać od ironii w stosunkach z próżniakami salonowymi. Bywał wszędzie, wszędzie go mile widziano, zapraszano, wyrywano z rąk. Nie ociągał się, ufając, że i w tej sferze da się coś pożytecznego zdziałać. Zresztą studyował ludzi, a anachoretą zostać nie myślał. Zabawy lubił po pracy, a że miał wymowę, gładko był ułożony, wiedział i widział wiele, więc obracał się w salonach jak u siebie w domu.

Salonu pani Rudzkiej nie pomijał, owszem częstym tam był gościem. Wspomnienia z lat dawnych wiązały go do tej rodziny. Śmierć Rudzkiego podwoiła przywiązanie, które teraz przeniósł na jego dzieci i żonę. Znał ich wprawdzie mniej, aniżeli nieboszczyka i pułkownikową, w obcowaniu z niemi nie przełamywał nigdy form salonowych, lecz niemniej przeto czuł się swobodnym i zadowolonym. Pomimo, iż dostrzegał w pani Rudzkiej pewne oznaki płochości, był najmniej przekonanym o jej zacności. Nic innego nie mógł czuć dla żony i synowej ludzi, którzy dlań byli ideałami prawie. Może obserwacye życia, które uprawiał con amore, cierpiały na tem dodatniem uprzedzeniu, lecz nie wiedział o tem.

Z Bronką był w bardzo ścisłych, braterskich niemal stosunkach. Razem hasali po błoniach, oglądali roboty w polu, wśród łąk i lasów uczyli się botaniki, ba, nawet na żądanie pułkownikowej strzelali do celu. Była to para dobrych koleżków, z których młodszy starszego słuchał i rad się od niego uczył.

Podobna zażyłość nie istniała wcale pomiędzy Augustem i Heleną. Była pewna granica, której przekroczyć nie mogli, nie chcieli. A pomimo tego miał August sympatyę dla ślicznej dziewczyny. Widział dobrze, ile w niej jeszcze było lalkowatości, ale był pewnym, że tam w głębi śpi dusza piękna, czysta jak kryształ, odziedziczona po ojcu i babce. Wierzył w dziedziczność cnót i charakterów podług tej starej zasady, że nie odpadnie daleko jabłko od jabłoni. Chociaż czasem w myśli robią ironiczne uwagi o lalce, przypatrywał się jej i czekał obudzenia duszy. Trzymał się dość zdaleka od dziecka, ale oka zeń niespuszczał, aby nie stracić ciekawego widoku, gdy zacznie się przetwarzać w kobietę.

Doczekawszy wreszcie tej chwili przeskoczył całą odległość, dzielącą ich dotąd i ku wielkiej radości został mile przyjęty od pierwszej chwili, jak dawny towarzysz, przyjaciel, powiernik.

Od owego dnia po balu, bywał August w domu pani Rudzkiej częściej niż przedtem i wkrótce zawiązał się pomiędzy nim a Heleną ścisły stosunek. Często i długo z sobą rozmawiali, bądź to poważnie, a wtedy najczęściej on mówił, ona rzadko tylko rzucała jakieś pytanie i słuchała uważnie, to znowu wesołość ich opanowywała i słychać było w salonie przyciszony śmiech obojga.

Pani Rudzka spostrzegła wkrótce, iż pomiędzy córką a Augustem nastąpiło zbliżenie. Nie była temu bynajmniej przeciwną. Ceniła Augusta i wiedziała, iż jest dość statecznym i bogatym, aby za-

pewnić kobiecie poważanie, szczęście i świetne, prawie zbytkowne życie.

Stosunek taki panował przez kilka miesięcy. Helena nie usuwała się od towarzystwa, lecz zawsze umiała znaleźć zręczność znalezienia się obok Augusta, a wówczas z pewnością zawiązywała się długa i ożywiona pomiędzy nimi pogadanka.

Z wiosną zaczęło się towarzystwo powoli rozpraszać. August musiał częściej dojeżdżać na wieś dla przypilnowania gospodarstwa i dla uniknięcia wymówek stryja, który zawsze zrzędził i po ojcowsku go gromił.

— Słuchajno paniczu, ty tam coś piszesz o roli i wódce, ale mnie się zdaje, że wkrótce nie potrafisz odróżnić owsa od pszenicy!

— No, przypatrzywszy się dobrze, poznam — odpowiadał z uśmiechem.

— Czekaj bratku, zaraz się przekonamy — i po chwili obaj konno spieszyli do Augusta.

Gospodarstwo było wzorowe. Stryj niby łajał, dawał rady, gromił rządcę i przyrzekał, że sam dopilnuje, aby to lub owo zrobiono.

— Bo ty pewno jutro znowu umkniesz!

— Zostanę kilka dni...

— Powiedz mi bratku, co ty tam właściwie robisz? Do domu wpadasz jak po ogień i już cię znowu żywe oczy nie widzą.

Wpatrzywszy się bystro w Augusta, dodawał po chwili:

— Ej chłopcze, nie szukaj ty szczęścia za górami, bo się sparzysz!...

August uśmiechał się na te słowa, lecz rumieniec go zdradzał. Major nic więcej nie mówił, tylko krzątał się około gospodarstwa, zatwierdzając, lub zmieniając zarządzenia Augusta. Zato gdy sam wracał do domu, całą drogę coś mruczał i gniewnie targał wąsy.

W czerwcu pani Rudzka wybierała się z Heleną na letni pobyt do Austryi, w góry. Zazwyczaj bywała u wód modnych, hałaśliwych, u których więcej się tańczy aniżeli leczy. Tym razem wybrała ciche, ale prześliczne ustronie, jakby istotnie pragnęła wypoczynku. Postanowienie to powzięła po naradzie z Heleną, a co więcej, na jej wyraźne żądanie.

August wybór miejsca pochwalił, chociaż przykrem mu było rozstanie. Pocieszał się tem, że matka nie wiezie Heleny do tych zdrojowisk, które bez ogródki targowiskami nazywał... Ale, jakkolwiek bądź, był smutny.

Sam o wyjeździe jeszcze nie pomyślał nawet. Tożby to się posypały grady z ust poczciwego stryjaszka! Miał przy tem wiele prac zaczętych, którechciał na jesień wykończyć. A jednak czuł już teraz, ile będzie tęsknił, nie widując Heleny.

— Tak nawykłem do domu państwa — mówił w wilią ich wyjazdu — że nie myślę wcale taić się z żalem, który mię opanowywa. Zazdroszczę pani tych widoków wspaniałych, majestatycznych, a przytem uroczych, tej swobody przy naturalnem podniesieniu uczuć i myśli...

— Jadę — odpowiedziała Helena — bo muszę

jechać, przecież niepodobna tu lata przepędzić, nie wypada — dodawała z uśmiechem — lecz kto wie, czy nie znajdę w pamięci chwil, których wspomnienie miłem mi będzie... Odkąd przestałam być dzieckiem — kończyła w żartobliwym tonie, lecz August przerywał jej.

— Nie może mi pani zapomnieć tego słowa?

— Czyż nie milszą pamięć, aniżeli zapomnienie?

— Zapewne, lecz to brzmi ciągle jak wymówka.

— Wszakże zapowiedziałam, że nie przebaczę panu tego... lecz podziękuję...

— Nie przebaczy pani? — pytał seryo.

— Nie wiem. Chyba pomówimy o tem gdy powrócę. Wszak pan zostaje w kraju?

— Zapewne...

— Więc do widzenia w jesieni.

— W jesieni dopiero? — głos mu zadrżał.

— Rychlej nie wrócimy. A skoro pan zostaje—mówiła z naciskiem i jakby ze smutkiem. — Brak mi pana będzie w tem pustkowiu górskiem... szkoda...

Gdy na rozstaniu podała mu rękę, czuł lekkie jej drżenie. Była spokojna, lecz w głosie brzmiało echo smutku. Cicho, ale z naciskiem powiedziała mu:

— Do widzenia...

III.

Nie lubił romantycznych szałów, nazywał je znamieniem słabości charakteru, bo nie znał jeszcze potęgi uczucia, nie rozumiał, jak często ono do szaleństwa popycha. Teraz na sobie tego po raz pierwszy doświadczył.

Był zakochany.

Prawie o niczem i nikim nie myślał, tylko o Helenie i swej dla niej miłości. Więc chociaż praca zatrzymywała go w kraju, choć czuł, że nie powinien jej zaniedbywać, nie mógł pokonać pokusy, nie mógł się jej oprzeć—pojechał za Heleną.

— Powiedziała do widzenia, więc chce bym przyjechał...—rozumował.—Tam będzie nam razem tak dobrze, cicho, spokojnie. Gwar miasta zabija uczucia, ośmiesza je. Tam wśród gór niebotycznych, nad szumiącymi potokami będziemy swobodniejsi. Cóżbym wraszcie zyskał, gdybym tu został Nic robić nie potrafię. Do referatów o podatku od okowity zaglądają jej płomienne oczy, gdy czytam o gospo-

darce zbożowej, widzę tylko jej ukochane bławatki, gdy wyjadę z rządcą w pole, nie odróżnię owsa od pszenicy—mówił sam do siebie z uśmiechem—pojadę!

Rzucił swe ekonomiczne prace, przyszłe krzesło poselskie przestało mieć dlań urok, bo pragnienie serca porywało go ku tej, którą pierwszą i jedyną kochał miłością.

Od owej chwili, w której zdawało mu się, że ujrzał duszę jej budzącą się z dziecięcego uśpienia, dzień po dniu silniej go do Heleny przykuwał.

Rozsądek nie sprzeciwiał się tej miłości. Z początku badał Helenę nie bez pewnego niedowierzania i pesymizmu i—odkrywał w niej coraz to nowe zalety. Dusza, obudziwszy się, rozwijała sią szybko. Helena, chociaż nie odebrała gruntownego wykształcenia, była od natury bogato uposażona. Miała wysoki dar spostrzegawczy, uczyła się szybko, a książką jej był świat, życie, ludzie. W rozmowach z Augustem okazywała głęboki, bystry sąd o rzeczach, obok pewnej melancholii, niby tęsknoty za czemś lepszem, aniżeli to życie powszednie, błyskotliwe, w istocie puste, banalne.

Tem go najbardziej ujęła. Czuł, że taką szczerą nie jest dla wszystkich, że lęka się ludzkich sądów i własnych nie chce wystawiać na śmiech, a może doktliwe szyderstwa. Nie nazywał tego brakiem odwagi — tylko poszanowaniem myśli szlachetnych, podniosłych. Wszakże sam nie inaczej postępował. Często ironią pokrywał swą wielką dla ludzi miłość, szydził z drobnych ułomności, choć pragnął całe życie poświęcić dla dobra kraju i bliźnich.

Był pewnym, że Helena go rozumie, że w niej znalazł duszę pokrewną.

Zresztą, początkowe rozumowania ustąpiły wkrótce uczuciu, które z całą gwałtownością owładnęło tą zdrową, silną naturą. Zdawało mu się czasem, że rozsądnie bardzo waży wszystkie zalety Heleny, iż bynajmniej nie jest miłością oślepiony— faktycznie nie sądził już, lecz czuł tylko. To też nie widział nawet, że on, który szydził z rozczulających się marzycieli, żył sam od kilku dni—od wyjazdu Heleny, tylko jej pożegnaniem. Do widzenia! jak muzyka najrozkoszniejsza pieściło jego ucho; z temi słowami, usypiał, z niemi budził się i liczył dnie, które go jeszcze dzielą od chwili wyjazdu i zobaczenia Heleny.

Jadąc, co chwila zaglądał do rozkładu jazdy liczył stacye, godziny, minuty, dopóki nie stanął na miejscu.

Korzystając z swobody, która panuje w miejscach kąpielowych, wkrótce po przybyciu, pospieszył do pani Rudzkiej.

Znalazł Helenę czarującą. Tak piękną nigdy mu się nie wydała. Nie miał słów na powitanie, pomimo, że myśli kłębiły mu się w głowie bez ustanku i w wagonie układały nawet formalne okresy. Zdawało mu się, że pani Rudzka z uśmiechem niezwykłym patrzy na niego i to go jeszcze bardziej mięszało.

Powoli odzyskał swobodę. Z Heleną wszakże najwięcej rozmawiał oczami. Zdawało mu się, iż w wzroku jej czyta to, czego najgoręciej pragnął i to go napawało rozkoszą, radością.

Wieczór spędził w upojeniu.

Siedzieli na werandzie ładnego domku, który pani Rudzka zajmowała cały, wśród ogrodu i najpiękniejszej przyrody. W dali góry siniały coraz wyższe, u stóp szemrał mały górski potoczek, dolatywał go zapach świeżo skoszonych łąk i echo fletni pastuszej.

August milczał dziś więcej aniżeli kiedykolwiek. Panie dotrzymywały mu towarzystwa. Zdawało się, iż jakaś moc niewidzialna, tajemniczo ukryta w pół barwach i pół cieniach, w lekkim powiewie powietrza rozmarzyła całe towarzystwo. Jakby w pół uśpieni siedzieli obok siebie i wpatrywali się w gwiazdy, w zdala błyszczące ognie pastusze, w małe chmurki srebrzyste, które sunąc po szafirze nieba, tonęły w nim powoli.

O dość późnej godzinie powrócił August do domu, żegnany prawie milczeniem. Poezya przyrody tak się udzieliła ludziom, iż nawet sławna królowa salonów i jej córka, zapomniały o zwykłych w takich wypadkach formułkach. Żegnano się uściskiem dłoni i prostem: do widzenia. Czyż tego nie dość było dla zakochanego Augusta? Z brzmieniem tych słów w duszy, utonął w marzeniach, siedząc na balkonie i... doczekał się brzasku porannej zorzy.

Dzień po dniu płynął mu swobodnie. Ciągle razem, rozmawiali jak starzy przyjaciele, czasem milczeli długo, to znowu śmieli się wesoło jak dzieci.

Na wyznanie nie mógł się jeszcze August zdobyć. Wiedział, że to nieuniknione, lecz czekał chwili, która sama je wywoła. Zresztą kochał tak szcze-

rze, silnie, iż nie wątpił ani na chwilę o miłości wzajemnej. Od czegoż wymowa ócz, uścisku ręki, owe drżenie rozkoszne, które czuł, gdy schodząc z stromej góry, Helena opierała się na jego ramieniu. Czuł każde uderzenie jej serca, oddech przyspieszony i obawiał się, by go szał nie porwał, nie pozbawił zmysłów. Wtedy byłby ją chwycił w ramiona, do piersi wzburzonej przycisnął i słów by nie potrzebował do wyznania miłości.

Wycieczki w góry, pieszo i konno, lądem i wodą, powtarzały się co dnia. Pani Rudzka i kilka osób znajomych od niedawna, Helena i August, stanowili wesołe kółko, do którego nie dopuszczano już nowych towarzyszy.

August zawsze był przy Helenie — ona wyraźnie pragnęła tego i jeśli śmiało wyruszała z domu, zgrabna i silna, to przy powrocie, wieczorem, zawsze potrzebowała pomocy jego ramienia.

Jeżeli w takiej chwili mówił, bo często w milczeniu szedł obok Heleny, to słowa z ust jego płynęły potokiem, falą wezbraną, która porywała słuchających i mówiącego. Były to prawie chwile natchnienia. Wtedy dopiero można było ocenić, ile w Auguście było poezyi, powagi w zapatrywaniach, głębokiego uczucia dla ludzkości całej. Cała jego szlachetna natura występowała w niezwykłej okazałości. Niktby w nim nie poznał salonowego pesymisty, szydzącego z maluczkich wad i głupoty ludzi wielkich, gryzącego wprawdzie sercem, ale dotkliwie. Nie wiedząc o tem, był poetą w najszczęśliwszej fazie życia.

Gdy na kilka godzin wyjechał do poblizkiego miasta dla interesów, zakupna jakichś drobiazgów, lub na żądanie pani Rudzkiej, tęsknił do Heleny i spieszył niecierpliwie z powrotem.

Pewnego razu, wróciwszy właśnie z takiej wycieczki, nie zastał Heleny w domu. Pani Rudzka była trochę chora, więc została sama, pozwalając Helenie wyjść na przechadzkę.

Było to powodem pierwszego może smutku Augusta, odkąd Helenę poznał. Całą drogę o niej myślał, a teraz doczekać jej się nie mógł.

— Ściemnia się już, a Helenki nie ma—rzekła pani Rudzka—musiała się za daleko zapędzić. Jestem niespokojna.

— Podzielam niepokój pani i dziwię się, że panna Helena ma odwagę chodzenia wieczorem po górach. W zmroku można zbłądzić...

— Niestety, nie mogę jej nauczyć zachowania miary koniecznej we wszystkiem. Gdy się czemu oddaje, to bez zastanowienia niemal, prawie powiedziećby można z namiętnością.

— Matki chciałyby widzieć swe dzieci doskonałemi, ztąd sąd ich bywa czasem zbyt surowy—rzekł August z uśmiechem.—Pomimo dzisiejszego spóźnienia się, nie zasługuje panna Helena na naganę. Zaszczyt tej, która ją wychowała, przynosi.

— W obec takiego obrońcy sprawiedliwego, jak pan, zarzucam oskarżenie.

Po tym duecie salonowym, którego rzadko w górach używano, czekano trochę cierpliwiej. Wreszcie odezwała się pani Rudzka.

— Panie Auguście, wyświadcz mi łaskę: wiesz gdzie zazwyczaj Helena przechadza się, spróbuj ją odszukać. Niepokoję się.

Powstał szybko, jak gdyby dawno wyczekiwał tych słów. Szedł z pośpiechem, tak mu było pilno zobaczyć Helenę. Obawa, aby jej jaka przykrość nie spotkała i tęsknota serca, uskrzydlały go. Wkrótce cała osada w zmroku zniknęła mu z oczu. Skierował się w stronę, w którą Helena najbardziej lubiła się udawać. Sądził, że ją niedaleko spotka. Na ulubionym kamieniu nie było jej. Szedł dalej, trochę zaniepokojony.

— Szalona dziewczyna! Matka ma racyę, mówiąc, iż nie umie się hamować, zapomina o mierze. Usłyszy dziś odemnie pierwszą wymówkę.

Uszedł spory kawał drogi, nagle na skręcie zatrzymał się. Po pochyłej ścieżce zstępowała Helena spokojnie, wolno, prawie ociężale. Oczy utkwiła gdzieś w dal i pewno zapomniała o świecie całym, o domu, matce, która jej z niepokojem wyglądała.

Wpatrzony w nią, nie mógł August zrobić kroku naprzód. Cały gniew jego ustąpił w obec tej, którą tak bardzo kochał. Postać jej przykuwała wzrok jego, upajała duszę i zmysły. Smukła, w jasnej sukni, silniej, niźli w chwili swego pierwszego w świat występu, rozwinięta, łączyła w sobie wszystkie powaby z jakimś tajemniczym majestatem. Na tle gór sinych i szafirowego nieba, cała w blaskach księżyca, była niby nieziemskiem zjawiskiem.

Była coraz bliżej Augusta, on jeszcze nie ruszył się z miejsca. Zakrywał go cień skały, więc

nie spostrzegła go. Dopiero, gdy ich ledwo kilkadziesiąt kroków oddzielało, podszedł szybko ku niej, z ręką wyciągniętą naprzód, lecz słowa przemówić nie mógł. Powitali się uściskiem rąk.

— Matka pani, zaniepokojona, wysłała mnie— zaczął po chwili August.

— Ach, mama tak jest lękliwa...

— Czy to się godzi tak ją niepokoić?

— Nie pomyślałam o tem... Wkrótce już wyjeżdżamy, więc mi żal każdej chwili, straconej w domu. Piękno tego świata zaczarowanego najsilniej oddziaływa w samotności... w ciszy...

— I może pani ma żal do mnie, żem jej samotność przerwał?

Nie odpowiedziała mu słowami, lecz spojrzenie jej długie, ku niemu zwrócone, aż nadto było wymowne.

Zamilkli, postępując po pochyłości ku domowi; drogę mieli jeszcze daleką, lecz nie spieszno im było. Helena szła leniwo; jakaś ociężałość ją opanowała. Zdawaćby się mogło, że promienie księżyca, niby pajęczyna ją oplątały, hamowały ruchy.

August postępował w milczeniu obok, a ile razy chciał mówić, tchu mu w piersiach brakło. Chwytał powietrze chłodne, czyste, lekkie, lecz jakiś niepokój ciągle w nim panował, głowa rozpalona, pomimo, iż zdjął kapelusz, nie ochładzała się.

Na jednym z licznych skrętów górzystej drogi zatrzymała się Helena. Było to miejsce czarowne. Wązka drożyna biegła po nad urwiskiem, pod którem pieścił się i huczał potok; za nim rozłożona po-

lanka pokrywała się lekką mgłą, dalej las stanowił ramy uroczego krajobrazu. Tu i owdzie z pośród czarnej jego massy wybiegały nagie, białe skały. Dalej góry piętrzyły się, coraz to jaśniejsze, sine, niektóre tak blade, jakby z mgły utworzone. Tu i owdzie błyskały ognie pastusze, dalekie echo pieśni rozpływało się w powietrzu, czasem tylko silniej uderzając o skały. Pomiędzy górami, w dolinie, tam gdzie potok szerzej się rozlewał, snuły się drobne łodzie. Niektóre oświecały jaskrawo żółte pochodnie. A nad tem wszystkiem księżyc sunął wolno i tak całem swem światłem napełniał powietrze, jakby się w niem rozpływał...

Helena usiadła na wielkim kamieniu, parę kroków od urwiska, tak, że cała dolina z daleką perspektywą rozpościerała się u jej nóg.

— Usiądź, panie Auguście, wypocznijmy.

Nie pomyślał nawet o niepokoju pani Rudzkiej; zaspokoiwszy swą tęsknotę, będąc przy Helenie, zapomniał o świecie całym.

Spojrzenia ich biegły gdzieś daleko, tonęły w błękitach nieba, to znowu kryły się przed blaskami księżyca, rozpryskującemi się w spienionej wodzie potoku. W dole, u stóp ich, ukrytą dłonią dotknięta, odezwała się cytra. Tęskny, jękliwy jej głos, to silniej, to słabiej dolatywał ich uszu. Czasem rozrywał melodyę huk strumienia, to znowu lekki powiew powietrza przynosił całe akordy rzewne, ciche, omdlewające, to znowu urywane jęki gorączkowo szarpanych strun rozbijały się o wysokie skały,

skarżyły się chwilę i wśród mas kamieni i karłowatych zarośli ginęły.

August spojrzał na Helenę i spotkał wzrok jej w siebie utkwiony. Oczy jej szafirowe błyszczały w świetle księżyca, jakby się w nich jakieś zielonawe ogniki zapalały; twarz miała bladą, ale spokojna była. Pochylona nieco, niedbale oparta o kamień zdawała się usypiać.

Pierś Augusta wrzała długo tajonem uczuciem. Upojony czarami tej księżycowej nocy, podrażniony muzuką, która nim miotała, czuł, że dłużej nie potrafi nad sobą panować.

Uchwycił rękę Heleny w swe dłonie rozpalone i z całą potęgą namiętności, szeptem, bo dźwięk głosu milkł w drżeniu całego ciała, rzekł:

— Kocham cię Heleno!

Ani na mgnienie oka nie zmieniła postawy, ręka jej zimna była jak lód, tylko oczy rozwarła szeroko i wpatrzyła się w Augusta.

— Kocham cię!...—powtórzył, jakby tyle w nim było tej miłości, że jej jednorazowem wyznaniem wypowiedzieć nie mógł.

Ona jeszcze nieruchomie wpatrywała się w niego. Po chwili twarz jej zaczęła się ożywiać, uśmiech zadowolenia ukazał się na ustach.

— Wiedziałam o tem...

Nie słyszał dźwięku jej głosu, nie zastanowił się nad tem, iż brzmiało w nim zadowolenie, nie będące jeszcze uczuciem, przycisnął rękę jej do silnie bijącego serca i zawołał:

— Wiedziałaś! i... kochasz mnie także; o po-

wiedz, powiedz to słowo, którego tak bardzo pragnę, w którem całe me złożyłem szczęście...

Milczała.

— Powiedz, powiedz Heleno, że mnie kochasz...

Nie spuszczała z niego wzroku, tylko powoli zwierały się powieki i już mu nie świeciły tak jasno te czarujące, szafirowe oczy. Po chwili dopiero odpowiedziała spokojnie, wolno, ale stanowczo:

— Nie...

Takie okrucieństwo było w tem jednem słowie, tak go zabolało, że ściskając gwałtownie jej rękę, krzyknął, chrypiąc prawie z bólu i wzburzenia wewnętrznego...

— Heleno!

Syknęła, wysuwając rękę z gwałtownego uścisku.

— Czy to dla *pana* nie dość wyraźna odpowiedź? Sądziłam, iż tłumaczę się jasno, a *pan* do niepojętnych nie należy.

Przecierał dłonią czoło rozpalone, usiłując zebrać myśli.

— Ach—to niegodziwe!... — wyrzekł wreszcie, czując się zupełnie złamanym i nie patrząc już na tę kobietę, w której przed chwilą świat cały, szczęście swe i życie widział.

Zaśmiała się głośno, niegodziwie.

To go oburzyło. Porwał sie z kamienia, na którym siedział dotąd.

— I pani możesz się w tej chwili śmiać?!

— Gdybyś pan siebie widział i słyszał, roześmiałbyś się także.

— Nigdy z cudzego bólu nie śmieję się...—odrzekł ponuro.—Dość boli krzywda, po cóż dodawać naigrawanie.

— Krzywda? Ależ serce nie sługa,—sam mnie pan tego uczyłeś. Pan się zakochałeś i straciłeś swój rozsądek i bystrość obserwowania ludzi. Zdawało się panu, że jeśli mnie zaszczycisz swą miłością, będę *musiala* odwzajemnić się...

— Zdawało mi się?—podchwycił z większą niż przedtem przytomnością i spokojem.—A jeślim miał do tego prawo, jeśli pani sama upoważniłaś mnie do żywienia nadziei...

— Nic nie mówiłam nigdy.

— Ustami, tak, lecz całem zachowaniem się, oczyma, które najrozsądniejszego mogły doprowadzić do szaleństwa...

— A więc tak, przyznaje się jawnie do tego, com uczyniła—rzekła, powstając i prostując majestatycznie swą postać.

Spokojne jej rysy, klasyczne kształty, miały w sobie coś posągowego, ale dusza z nich nie przeglądała. W świetle księżyca wyglądała jak marmurowy posąg piękna fizycznego— ale tylko posąg.

— Nie chcę z panem bawić się w ślepą babkę, przeciwnie, będę szczerą, jak przed nikim dotąd, tembardziej, iż od tej chwili dogi nasze rozejdą się stanowczo. Co pan zrobisz, nie wiem, nie pytam o to ja żyć zaczynam. Panu powiem, co czuję i myślę, bo ci się odemnie wdzięczność należy... wszak pan to promowałeś mnie na... człowieka!

— Nie zapomnę tego dnia, od niego zaczęło się łudzenie moje...

— To rewanż sprawiedliwy. Za naukę należała się panu nauczka. Może inni myśleli to samo co pan, lecz nikt nie miał odwagi tego powiedzieć. Byłeś pan szczerym, ja odpłaciłam fałszem, ale dziś szczerością powetuję to wszystko. Powinieneś pan być ze mnie zadowolonym, gdyż dałam dowód, iż nieomyliłeś się, mówiąc, iż do owego dnia byłam dzieckiem. Obudziła się we mnie kobieta i pan, odkrywca tego ważnego faktu, zostałeś zasłużenie wybranym, by pierwszy hołd złożyć kobiecie. Próba ta była tem ponętniejszą, iż należałeś pan do najpoważniejszych i najzimniejszych ludzi naszego świata salonowego. Teraz, po pokonaniu takiego przeciwnika, nikogo już się nie lękam, każdy kogo wybiorę, musi paść u nóg moich!

Oczy jej iskrzyły się, postać rosła, rysy kamieniały. Była straszną.

August, patrząc na Helenę, cofnął się, a jęk stłumiony wydobył się z jego piersi.

— Przed pół rokiem była dzieckiem jeszcze; sądziłem, że po obudzeniu się, wybrała najlepszą drogę, a tymczasem... jaka potworna zmiana—mówił, jakby sam do siebie, ale Helena usłyszała jego słowa.

— To fałsz—zawołała—dzieci siedmnastoletnie nie istnieją. Ale wówczas, gdyś się pan do mnie zbliżył i z wyniosłością mentora podałeś rękę, by mnie po drodze młodego życia przeprowadzić, już się spóźniłeś. Trzeba to było uczynić dzień wcze-

śniej, kto wie?... Może wdzięcznością porwana, nie byłabym usłuchała podszeptów innych.

— Wszak już wtedy fałszem, udanym smutkiem pociągnęłaś mnie ku sobie...

— Nie, byłam zamyślona, lecz nie smutna, mówiłam to panu, ale zarozumiały w swą bystrość do dziś dnia nie wierzyłeś. Takie omyłki zdarzają się panom sensantom często. Dostrzegłeś pan przecie na balu błyski gniewu, brużdżącego mi czoło— dla czego po tej nitce nie doszedłeś do kłębka?— To była prawda, a pan wolałeś ułożyć sobie sentymentalno-rozsądną historyjkę o budzącej się duszy i dla tego postanowiłam przekonać pana, iż nie ja, lecz ty byłeś dzieckiem. Próba udała się świetnie; teraz śmiało idę w świat i zagram wesołą komedyę...

Jej szyderstwo, cynizm prawie, wracały mu przytomność. Po chwili zapytał spokojnej.

— Powiedz mi pani, jaki proces odbywał się w tobie owego dnia i dla czego taki plan ułożyłaś?

— Chętnie. Na balu widziałeś mnie pan chwilami gniewną, tak było istotnie, tak być musiało. Jestem młodą, piękną, a jeżeli w postaci mej nie było wówczas jeszcze tych *powabów*, które tak silnie na was działają, to był w niej *urok*, który sądziłam powinien być silniejszym. Byłam młodą i wierzyłam w skarb młodości. Wypuszczona z niewoli dziecięctwa, wprowadzona w świat, żądałam jego praw, o których, bodaj z książek miałam pojęcie. O mej piękności wszyscy mi mówili—więcej aniżeli o naukach, lub zasadach, o których dotad nie wiele wiem. I oto na pierwszym wielkim balu doznałam zawodu.

W porównaniu z matką moją, byłam osamotnioną. Widziałam, jakie tłumy mężczyzn ją otaczały, sala rozbrzmiewała pochwałami jej piękności. Pomimo, że była moją *matką*, że co najmniej dwa razy tyle lat liczyła, szaleli za nią formalnie. Słyszałam to wszystko, słyszałam po kilkakroć, jak bez ogródki mówiono, iż jest piękniejszą odemnie, której od kolebki o piękności śpiewano w domu i po za domem. To mnie oburzyło; gdyby nie wstyd, byłabym się wśród balu rozpłakała. Nie uczyniłam tego, chociaż, zdaniem pana, byłam jeszcze dzieckiem. Całą noc myślałam o przyczynach takiej oburzającej niesprawiedliwości i wtedy to cała poezya świeżości, uroku dziecięcych wdzięków, uleciała. Za to w historyi trzydziestoletniej kobiety i tym podobnych romansach, których dotąd nie pojmowałam, znalazłam wiele komentarzy do faktu, który zburzył cały mój spokój dotychczasowy. Przed wejściem do salonu, rozmawiałam z matką, która mi wręcz i seryo powiedziała, że tryumfy kobiety, to jej potęga, jej *wszystko*, że piękna kobieta może i *powinna* władać światem. Była to, jakbyś się pan wyraził, moja moralna wyprawa. Pan sam otwarłeś mi oczy, wskazując jedną z największych zalet mej matki — dar rozmawiania, pociągania słowami ku sobie. Uczyłam się tego co dnia i... oto pierwszy mój tryumf święcę...

Zaśmiała się, jakby tu nie o szczęście ludzkie szło, lecz o amatorskie przedstawienie.

— I nie zastanowiłaś się pani nad tem, że ja eksperyment twój ciężką zapłacę boleścią? że dep-

cąc uczucie szlachetne, czyste, gorące, wypowiadasz mu walkę i kiedyś sama możesz być zwyciężoną?...

— Bądź pan o mnie spokojny, uwalniam pana od dalszego mentorowania. Nie jestem już dzieckiem, lecz kobietą, *piękną* kobietą, która będzie zbierała laury, święciła tryumfy... Tryumfatorowie nie liczą ofiar, krwi przelanej... to robota sentymentalnych poetów. Nie posiadam zdolności na kochankę, bohaterkę. Przyznaj pan sam, iż teraz chyba jestem już kobietą nie... dzieckiem...

August był zamyślony; słowa Heleny wstrząsały nim do głębi. Po długiej chwili milczenia rzekł spokojnie, z naciskiem.

— Pamiętaj pani, kiedyś karta się odwróci — ty będziesz kochała, będziesz się chyliła do nóg mężczyzny, a on ci odpowie, jak ty mnie dziś — śmiechem. Wtedy mimo chęci przypomnisz sobie tę chwilę, w której sądzisz, że ci złorzeczę, przeklinam... nie, ja się nad tobą *lituję!...*

— Późno jest, muszę wracać, podaj mi pan rękę, jeśli nie chcesz, bym spadła w jaką przepaść — rzekła spokojnie, chłodno.

Matka ogromnie była niespokojną, lecz ujrzawszy Helenę z Augustem słabe tylko robiła jej wymówki. Przeczuwała, iż August kocha Helenę i pomimo, że nie wiele czasu poświęcała na poważne myślenie o przyszłości córek, rada była temu.

August, tłumacząc, iż czas paniom spocząć, i że sam ma różne zajęcia, odpisywania na listy, po chwili pożegnał panie.

Był tak spokojny, iż pani Rudzka nie przypuszczała nawet najmniejszego nieporozumienia pomiędzy nim, a Heleną.

Dopiero na drugi dzień otrzymała wyjaśnienie. Przy śniadaniu podała córce list Augusta.

— Wiedziałam otem—rzekła Helena obojętnie.

— Wiedziałaś?...

— Tak. Wczoraj oświadczył mi swą miłość...

— A ty?...

— Podziękowałam mu za ten zaszczyt, z którego korzystać nie myślę, nie chcę...

— Heleno!

Pusty, czysty śmiech wydobył się z ust Heleny.

— Cóż mama tak tragicznie tę rzecz bierze?

— Sądziłam, że ci się August podoba...

— Bynajmniej, zresztą nie o to tu idzie. August sądził, że dam sobie ręce skrępować stułą, a mnie się wcale nie spieszy.

— Ależ to bardzo dobra partya, przytem piękny, miły, zacny...

— Być może, ale ja tych zalet nie cenię. Męża znajdę zawsze i stratą tej dobrej partyi nie martwię się, będę ich miała dość.

Pani Rudzka patrzała na córkę zdziwiona. Słysząc ją, nie mogła uporządkować myśli, które w jej głowie zaczęły dziwne jakieś, nieznane dotąd harce wyprawiać. Nie wychowała córki w czułostkowych uniesieniach, bo ich sama nie znała. Była praktyczną, lubiła się bawić, wyszła za mąż bez miłości, bo mąż jej był *dobrą partyą*. Ale w dzień ślubu nie miała nawet pojęcia o miłości i mąż jej

tego nie nauczył. Helenę wychowała do życia salonowego, powierzchownie; cieszyła się jej pięknością, ufała w ten dar nieba i była pewną, że to wystarczy do zabezpieczenia jej dziecku świetnej przyszłości. O rozwinięciu duszy, serca, nie pomyślała nigdy, zapomniała o tem zupełnie, chociaż pomimo swej lekkomyślności ceniła w kobiecie uczucie rzetelne. Ale w życiu pełnem zabaw nie miała czasu do myślenia o jego poważniejszej stronie. Sądziła, że to samo z siebie przychodzi, że człowiek przynosi z sobą na świat duszę ze wszystkiemi zaletami. W ogóle, pomimo lat trzydziestu pięciu, mało myślała o rzeczach poważnych. Obowiązki macierzyńskie poruczyła bonom i guwernantkom. Tak w jej sferze robiono i nie przypuszczała, aby to złem było. A jednak w tej chwili uczuła się dotkniętą słowami Heleny. Zimne były, jakby wyszły z ust starej, zblazowanej kokiety. Ile w tem złego się mieściło, pani Rudzka więcej przeczuła, aniżeli zrozumiała. Może dla tego, że lubiła Augusta. Gdyby to kogo innego spotkało, nie byłaby się zastanawiała nawet. Igrała często z sercami ludzkiemi, ale nikt sobie z tego powodu życia nie odebrał. Była płochą, lekkomyślną, żądną zabaw, miłych przygód miłośnych, ale zawsze w ramach salonu, bez dramatycznych następstw. Nic złego — może tylko podług swego mniemania—nie popełniła. Wychowana źle, raczej wcale nie wychowana, posiadała pewne dobre, szlachetne instynkta. Pewne rzeczy wydawały jej się naturalnemi. Tak naprzykład nigdy nie zdradziła myślą nawet męża, którego nie

kochała wcale. Nie pojmując jego wartości moralnej, szanowała go instynktownie. Dumną była z tego, że o jej mężu wszyscy dobrze mówili, szanowali go i lubili. Zostawszy wdową, mając majątek, niezależność, urodę niepospolitą i wdzięk, pociągający każdego, żyła z dnia na dzień, szukając rozrywek, nie przechodzących nigdy pewnych granic. Wiedziano, iż za mąż nie pójdzie nigdy—tak jej miłą była swoboda, ale nie była nieprzystępną, zimną, nieczułą. Wśród uśmiechów szeptano sobie w salonach to i owo—zawsze podziwiając spryt pięknej wdówki. Umiała do siebie ludzi zbliżać, ale zręcznie także, bez tragicznych ruchów oddalać, gdy uczuła tego potrzebę. Miała pełno przyjaciół. Nikt z nią nie zrywał, choć mu przyszło stanąć trochę dalej niż wprzód.

Taką będąc, nie miała pojęcia o wychowaniu córek. Młodszą chętnie oddała matce męża, gdyż tego sobie życzył. Helenę wychowała, sama nie wiedząc o tem, na śliczną lalkę salonową, ale ani na chwilę nie przypuszczała, iż lalka ta może się stać—Molochem...

August, choć dawno bywał w salonach pani Rudzkiej, nigdy nie stawał w szeregu jej wielbicieli. Lubił z nią rozmawiać. Jej lekkie, ale dowcipne, często sarkastyczne poglądy, godziły się z ironią Augusta. To, co on mówił na podstawie przeświadczenia, nauki, zabarwionych powierzchownie tylko pesymizmem to ona czuła instynktownie, bezwiednie i nie raz bez porozumienia się, równocześnie ten sam sąd o rzeczy jakiejś, lub człowieku, wypo-

wiadali. Ale zdobywać serca pięknej pani, choćby na żart—nie myslał wcale. Czasem żałowała tego. Wolałaby jego widzieć u stóp swoich, aniżeli tamtych innych, którzy mu nie dorównywali w niczem. Ale żal ten nie wywoływał niezadowolenia, nie zamącał spokoju, nie psuł harmonii w ożywionych, miłych rozmowach. Uznawała w nim umysł poważny, duszę wielką, szlachetną. W myślach stawiała go obok swego męża — lecz wyżej znacznie.

Oto dla czego tak ją zdziwiła rekuza Heleny, obudziła zamyślenie, rzuciła cień na córkę własną.

Nie mogąc sobie zdać jasno sprawy z przyczyn, czuła, że Helena wypowiedziała myśli złe, zdradziła w słowach i tonie duszę zimną, kamienną. To ją, jako matkę, zabolało bardzo.

— Myślałam — rzekła po chwili — żeś dawno już spostrzegła miłość Augusta i sprzyjasz mu...

— Czym kiedy o tem mówiła?

— Zdaje mi się, żeś sama go zachęcała, aby tu przyjechał.

— Może. Cóż w tem złego? W tem pustkowiu trzeba było mieć towarzysza!

— Pustkowie sama wybrałaś; byłabym pojechała gdzieindziej...

— A jeślim *chciała* zabawić się z panem Augustem w idylę?

— Helenko! co ty mówisz?

— Proszę mamy, tylko bez tragedyi. Pamiętasz, sama mi powiedziałaś: — Tryumfy kobiety, to jej potęga, jej *wszystko*. Jesteś piękną, a piękna kobieta może i *powinna* władać światem! To twoje

własne słowa, których nigdy nie zapomnę. Powiedziałaś mi je wtedy, gdym stała u progu życia światowego, gdym widziała, że się podobam, jak motylek, za którym salonowi boheterzy nie myślą gonić, ale sił nie miałam jeszcze, o ukrytej potędze nic nie wiedziałam. Tyś mi mimo wiedzy, może nawet mimo chęci wskazała cel i drogę... Teraz już bez obawy pójdę naprzód. Zadrwiwszy sobie z takiego znawcy serc i myśli ludzkich — mówiła z ironią—jak August, mogę się zmierzyć z każdym!

Pani Rudzka spuściła głowę i milczała. Nie przypominała sobie słów własnych, cytowanych przez Helenę, ale wiedziała, że je wymówić musiała. Mawiała zresztą o tem nie raz w gronie swych znajomych. Niezawodnie i córce objawiła to zdanie, bez myśli, bez przypuszczenia, że Helena zrobi sobie z tego zasadę życia.

Czuła nieznany dotąd ciężar na sercu. Była zgnębiona, smutna, bezradna. Nie usiłowała nawet zwrócić Helenę z obranej drogi, zbić jej poglądy. Bo cóżby jej mogła powiedzieć? Jakie zasady wpoić w spaczoną głowę? Nie znała ich sama. Czuła, że wszelkie nauki byłyby spóźnione. Helena była upartą i dała dowód siły, przeprowadziwszy tak zręcznie w tajemnicy ułożony plan.

Przypomniała sobie męża, który umierając z stoicyzmem mówił, iż nie potrzebnym jest na świecie, bo nie ma co robić. Wychowanie córek do matki należy, więc dzieci jego nie uczują sieroctwa; ona się niemi zająć musi, tak czy tak. Zdawało jej się, że mąż z poza grobu jeszcze powtarza te słowa,

które ją niegdyś tak bolały, obrażały. Teraz uginała się pod ich ciężkim zarzutem. Nie spełniła swego obowiązku, nie myślała o nim nigdy, nie starała się nawet poznać go.

Tak spokojna, szczęśliwa całe życie, poddała się teraz bezsilnie zmartwieniu. Gdy weszła do swego pokoju padła na kanapę i zaczęła płakać rzewnie.

— Co ja pocznę!?—wołała, a ściany odpowiadały jej odgłosem. Nie miała nikogo, kogoby się mogła poradzić, zresztą czuła, że darmoby zasięgała rady — Helena nie da się odwieść od swych myśli szalonych, zamiarów niegodziwych.

— Tak chłodno, z rozmysłem, kogoś ciągnąć za sobą, aby go potem odepchnąć... to niegodziwe, strasze! Zkąd jej się to wzięło w tym wieku? Jakże okropną może się stać później! I to ja, ja temu wszystkiemu jestem winna!...

Znowu płakała głośno. Sił nie miała do czynu. Nawet myśleć nie mogła. Wszystko jej się w głowie plątało.

Znużona długim płaczem, usnęła na chwilę. We śnie widziała swą młodszą córkę, Bronkę, która stała daleko od niej i uśmiechała się łagodnie. Potem zjawił się mąż nieboszczyk i milcząc groźnie wpatrywał się w żonę.

Obudziła się z głuchym krzykiem i poczęła jak szalona biegać po pokoju, załamując ręce. Nagle powzięła postanowienie. Zmyła ile możności ślady łez i poszła szukać Heleny.

Znalazła ją w ogrodzie z książką w ręku.

— Wiesz Helenko, postanowiłam wyjechać ztąd za parę dni.

— Tak?—zapytała córka przeciągle.

— Pojedziemy do babci... Chciałabym zobaczyć Bronkę i babci zrobimy przyjemność...

— Wątpię, by nas z radością powitała. Nie lubi mnie i bez żenady nazywa lalką salonową. Zresztą mniejsza o to, możemy kiedyś do niej pojechać, albo Bronkę sprowadzić, gdy mama tego chce.

— Ależ...

— Sądzę, że mama na seryo o wyjeździe do kraju nie myśli. Nie życzę sobie, by ktokolwiek pomyślał, że gonię pana Augusta, który najpewniej jest u siebie na wsi, o miedzę od babki.

— Prawda...

— Jeśli mama sobie życzy, wyjedziemy za dwa lub trzy tygodnie, ale nie do domu. Może do Ostendy, lub gdzieindziej do morza.

Pani Rudzka nic na to nie odpowiedziała. Uznała słuszność uwag Heleny. Nie wypadało teraz wracać. Gdyby wróciły, co by na to ich znajomi powiedzieli? Bała się sprzeniewierzenia prawom światowym. A zresztą, czyżby to nie powiększyło bolu Augusta, gdyby teraz Helenę spotkał? Przestałby u babki bywać — to by zmusiło ją do tłumaczenia się nad wyraz przykrego...

Musiała uledz Helenie.

Bolu i smutku pozbyć się nie mogła. Całe dnie siadywała w domu, lub leżała bez ruchu. Nie miała sił do wycieczek górskich. Czuła się

złamaną. Pozwalała Helenie chodzić samotnej, lub w towarzystwie znajomych, z którymi zwykle dalsze robiono wycieczki. Ile razy usłyszała wesoły srebrzysty śmiech Heleny, zrywała się z siedzenia, a po chwili padała znowu bezwładna i płakała. Cierpiała bardzo.

Helena bawiła się i... bałamuciła garść mężczyzn, którzy w wycieczkach brali udział. Matka nie wiedziała nic o tem.

IV.

Major już o czwartej z rana wstawał do gospodarstwa. Pomocników mu nie brakło, lecz pomimo tego, sam wszystkiego doglądał.

Właśnie już opatrzył całe domostwo i stojąc na ganku dozorował parobków, wyruszających w pole, gdy spostrzegł zdaleka szybko poruszający się tuman kurzu. Przysłonił oczy dłonią, lecz nie mógł poznać jeźdźca.

— Ciekawa rzecz, kto to tak rano spieszy — mruczał.

Po kilku minutach zatrzymał się jeździec przy bramie, zeskoczył z konia i kłaniając się majorowi, zbliżył do ganku.

— Cóż cię tak rano przygnało, panie Podoski? — zapytał — czy chciałeś okazać, że już nie śpisz?

Podoski, człowiek dobrze już szpakowaty, o poczciwej twarzy, miał minę bardzo zafrasowaną.

— Bieda mnie przygnała, proszę pana majo-

ra — mówił zakłopotany, wstrzymując się z całej siły, by nie podnieść ręki, która wyrywała się do kręcenia wąsów.

— A cóżeś tam do licha spłatał? — krzyknął major groźnie. — Parę dni u was nie byłem i już bieda?

Podoski postąpił krok naprzód i zniżając głos, powiedział:

— Panicz przyjechał...

— August, tam do kroćset!...

Wstrzymał się, jakby nie chcąc się zdradzać przed rządcą Augusta i na pozór spokojnie dodał:

— To i cóż?

— Zapewne, nic to i przepraszam pana majora za śmiałość, ale bałem się...

— Mówże, prędzej!

— Coś mi się widzi panicz chory...

— Chory? Co ty pleciesz!

— Nie śmiałbym pana majora kłopotać i wdawać się w pańskie sprawy, ale mnie tak serce boli, że już wytrzymać nie mogę i przyleciałem tu duchem, tak, aby mnie nikt nawet nie widział.

— Ale, cóż mu jes ?

— Przyjechał onegdaj wieczorem. Witałem go jak własne dziecko; pan major wie przecie, że ja panicza na rękach nosiłem... a on tylko mi ręką machnął i powiedział: — dobrze, dobrze. Nigdy tego nie bywało, zawsze pogadał, wypytał o wszystko i spaćby się nie położył, nie wydawszy dyspozycyi. A tu nic, a taki strasznie blady i oczy mu zapadły; ledwo się na nogach trzyma. Rano wczo-

raj chodzę, czekam, a panicz się nie pokazuje. Pojechałem w pole, wracam, jeszcze nie wychodził z pokoju. Pytam Józka, czy już po śniadaniu, a on tylko ramionami rusza. Bogać tam, powiada, ani my pana na oczy nie widzieli. Nie chcący być natrętnym, czekam tedy i tak mnie południe zaskoczyło. Ha, myślę sobie, trudno, sprobuję zapukać. Pukam długo, ledwo się panicz odezwał:—kto tam? Powiedziałem, że przychodzę po dyspozycye. Otworzył drzwi i kazał czekać do jutra. Zmęczony jestem, muszę wypocząć. Żeby był znowu za sobą drzwi nie zamknął, byłbym mu się do nóg rzucił i rozpłakał. Blady, straszny, a głos ma taki, jak by mu co na gardło wlazło i dusiło. Powiada, że musi wypocząć, a klnę się na duszy zbawienie, że nie zdjął dotąd podróżnego ubrania. Wracam do domu i mówię do mojej: z naszym paniczem źle, a ona mi na to: co ty głupi stary, wszędzie tylko złe widzisz. Zmęczony taj tyle. Myślę sobie, może to i prawda, ale mi coś spokoju nie dawało. Całą noc, jak mnie tu pan major widzi, czuwałem pod oknem panicza. Klnę się na duszy zbawienie, nie przez ciekawość, ale ze strachu. No i słyszałem jak panicz całą noc chodził po pokoju i ani odrobinki nie spoczął. Tak mnie coś dusiło, że myślałem ryknąć: paniczu, każ utoczyć krwi serdecznej utoczę, ale nie gryź się, nie zabijaj!...

Ale potem skalkulowałem, że to na mało się przyda — postanowiłem wszystko panu majorowi opowiedzieć. Możem i głupstwo palnął, ale to tyl-

ko z wielkiego przywiązania do panicza. — Toć to chyba nie grzech...

Stary ocierał łzy kułakiem i pokryjomo targnął się za wąs.

— Panie majorze, proszę ratować panicza; on nikogo nie posłucha, tylko pana majora...

Major słuchał uważnie, wąsy kręcił i pochmurniał. Wreszcie rzekł:

— No, uspokój się, panie Podoski i jedź do roboty. Ja tam wkrótce przyjadę, tak sobie, niby przypadkiem. Trzymajże język za zębami, bo by się na tobie skrupić mogło.

— A, niech się i skrupi, aby tylko paniczowi nic złego się nie stało.

Gdy zniknął za bramą, major aż podskoczył.

— A to ładna historya, do stu tysięcy... Wiedziałem, że tak się zakończy, a no, zachciało się smarkaczowi malowanej lalki, a teraz świszcze! A bodaj ją!

Mruczał coś pod nosem chwilę, potem huknął:

— Jasiek, konia mi siodłaj.

W kwadrans potem pędził przez pola i łąki, jak młodzik. Objechał całą wieś, zajrzał do swoich robotników, potem skierował się ku polom Augusta, aby i tam roboty obejrzeć.

Była już ósma, gdy zajechał przed dwór. Konia oddał parobkowi i jakby w własnym domu, szedł wprost do pokoju Augusta.

— A to co? — huknął — zamknięto? Wstawajno gospodarzu!

Nie było możności skryć się przed stryjem. August otworzył drzwi.

— Bodajto zagraniczna moda—zawołał major, wchodząc do pokoju—spać do południa, choć robota aż pali. Tam za granicą ludzie pewno wyrastają pod płotem, między pokrzywami i familii nie znają, kiedy pan August, nauczywszy się tego obyczaju, nie raczył odwiedzić starego stryja, nie zapytał nawet czy żyje. Co tam! Dowie się od arendarza lub parobków, że przyjechałem, to może mi zrobić ten zaszczyt i sam przyjedzie. Pewno czekałeś wizyty mojej w południe i w glansowanych rękawiczkach?!

August stał milcząc, z oczyma spuszczonemi, pół nieprzytomny, nie wiedząc co mówić.

— Ależ stryju...—wyszeptał.

— Milczeć, smyku, kiedy mówię! Twój ojciec był twoim ojcem i rotmistrzem, a milczał kiedy mówiłem, posiwiał, a milczał, kiedy powiedziałem wara bratku, milczał, nawet kiedy umierał, a zawołałem baczność, milczał! A tu smarkacz, do kroć set, włóczy się podczas żniwa, zrzuca mi na łeb całe gospodarstwo, wraca nie kiwnąwszy mi nawet głową i chce coś gadać, jak gdybym to ja kłamał...

Stary aż się zasapał z wzburzenia: biegał po pokoju, potrącał krzesła, stoły i machał rękami, jakby miał cały pulk nieprzyjacielski rozpędzić.

August nie wyrzekł już ani słowa. Był bezsilnym do obrony, wiedział przy tem, że stryj najpoczciwszy, łaje wtedy, gdy się nie chce do współczucia przyznać.

Wysapawszy się stanął major przed synowcem i spojrzał na niego.

— Zmizerowanyś.

August poruszył ręką na znak, że o to nie dba.

— Nie mogłeś to do mnie zajechać? — Czym to ja wilk; czy ci lepiej tak jak cyganowi w samotności? No, mówże...

Ujął go za ramię.

— To stryj już teraz niczem dla ciebie. Maszże na ziemi szerokiej kogoś, co by cię jak ja kochał?

August nie widział twarzy stryja, ani jego wzroku, w którym całe przywiązanie się przebijało. Stracił prawie świadomość wszelką. Nagle uczuł, jak go silne ramiona obejmowały i do szerokiej przyciskały piersi.

— Gutku, dziecko moje...

Jęk wydobył się z piersi Augusta, a potem płacz szalony, jakby wszystkie bole życia wypłynąć z duszy jego miały. Stryj trzymał go w objęciach silnie, choć sam drzał ze wzruszenia. Ruszał gwałtownie wąsami, to otwierając, to zaciskając oczy. Wstydził się rozrzewnienia i lękał łez. Ale wszelkie wysiłki na nic się nie zdały; kilka łez grubych, ciężkich, potoczyło się na głowę Augusta.

— No, no, chłopcze, uspokój się. — Wstyd płakać. Czyś to ty baba jaka, czy co? A co by to ojciec rotmistrz na to powiedział?

August powoli uspokajał się, lecz mówić jeszcze nie mógł.

Wreszcie puścił major synowca, wyprostował się i zawołał:

— Chłopcze, dość tego, głowa do góry. Nie jestem z kamienia, pojmuję ból, ale zmartwienie musi być warte straty. Dała ci malowana lalka rekuzę, pal ją kroć set... Nie warta jednej łzy twojej. Pamiętaj, żeś na świecie miał cel i pracować powinieneś. Twoi ojcowie płakali większej straty, a rąk nie opuszczali. Alboż ty nie wiesz, cośmy stracili? A jednak widzisz, żyję i pracuję. Tak robił pułkownik, twój ojciec i wszyscy nasi... — Ciężko Bóg nas doświadcza, wola Jego święta, ale pamiętaj, że dewizą naszego życia powinno być: pracuj i nie trać nadziei. I ja miałem kochankę, a na tydzień przed ślubem wziąłem szablę w rękę, na koń i tyle widziałem mojej Basi. Zamordowali ją szelmy i spalili ciało pod własną jej strzechą. A czy myślisz, że jej nie kochałem? I ty, mój smyku więcej nie potrafiłbyś, a jednak ja ci powiem, że dziesięć Baś bym oddał, żeby tylko...

Wspomnienie dawnych lat wzburzyło na nowo majora. Znowu czuł, jak rzęsy wilgotnieją, więc wąsy targał i szybko chodził po pokoju. Gdy się uspokoił, stanął przed Augustem, ujął go za rękę i zawołał:

— Do pracy chłopcze! Bóg tylko mężnych, wytrwałych wspiera. Nie dajmy się do ostatniego tchu. Kobieta, miła rzecz, ale nie najdroższa na świecie, a lepiej żadnej nie znać, jak wziąć sobie ladaco na kark i zmarnować siły, co powinny iść na służbę kraju. Dopóki mi śmierć ust nie zamknie będę powtarzał: naprzód!

Podoski stał w korytarzu, oczekując rezultatu bytności majora. Nie śmiał podsłuchiwać, choć był strasznie ciekawy. Na raz zobaczył otwierające się drzwi, a w nich majora z Augustem pod rękę.

August, przebrany, odświeżony zimną wodą, natchniony siłą przez majora, wyglądał w tej chwili o wiele lepiej, niźli wówczas, gdy go pierwszy raz Podoski ujrzał.

Serce staremu słudze kołatało w piersiach. Zbliżył się z ukłonem i rzekł:

— Bogu dzięki, że panicz znowu z nami...

August uścisnął dłoń poczciwego sługi.

— Po obiedzie przyjdź na pogadankę gospodarską, muszę wiedzieć, coście tu zrobili bezemnie.

— Przy Boskiej łasce, a za rozkazem pana majora, nie źle idzie.

— Dziękuję ci, mój stary. Zabierzemy się teraz ostro do roboty, czas wielki. Przyjdź po obiedzie.

Gdy zostali sami z majorem, ten rzekł do Augusta.

— Chwat z ciebie, prędzej się dźwignąłeś, aniżelim myślał. Furda kobiety! Rotmistz, jeśli cię widzi z nieba, pewno wąsów podkręca z dumą, bo gdyby ci brakło hartu duszy i męztwa, zapłakałby i wyparł na sądzie ostatecznym.

V.

W jesieni, gdy salon pani Rudzkiej otworzył podwoje, spostrzeżono w nim liczne zmiany, które wszystkich mocno zdziwiły. Pani Rudzka nie była już tą królową salonów z ubiegłego sezonu, która nadawała ton, ruch, życie wszystkim zebraniom. Serdeczne przyjaciółki spostrzegły, może nie bez tajonej radości, iż nad spodziewanie postarzała się. Nie wiadomo zkąd się nagle wzięły zmarszczki, a ruchliwa twarz z trudnością poddawała się uśmiechom; oczy straciły dawny blask, nawet w głosie brakło tego dźwięku, którym czarowała wszystkich.

Co jej stać się mogło—pytano dokoła, patrząc na uprzejmą, lecz poważną i widocznie cierpiącą gospodynię. Równocześnie spostrzeżono, iż berło z rąk matki przeszło na Helenę. Ta była teraz magnesem, przyciągającym towarzystwo i władała wszystkimi. Nie koniec na tem. Zaczęto się dziwić,

że August tak długo bawi na wsi, on który przed wyjazdem Rudzkich codziennym niemal był u nich gościem. Robiono domysły różnorodne. Przyjaciele Augusta tłumaczyli, iż zaprowadza wzorowe gospodarstwo, dwór przebudowywa, pisze dzieło ekonomiczne i to go wstrzymuje od przybycia do stolicy. Nie bardzo chciano w to wierzyć. Aż tu nagle, podczas herbaty u jednej z najbliższych przyjaciółek pani Rudzkiej wpada sławny plotkarz, rodzaj kuryera salonowego, z nowiną: August jest od dwóch dni w mieście!

— Od dwóch dni?! Jakto i wczoraj nie był na wieczorze u Rudzkich?

— Nie był i nigdy już nie będzie. Zerwane, wszystko zerwane. Jeździł za niemi do X. tam się rozegrała tragedya. Powrócił na wieś i hreczkę sieje.

— Widziałeś go, mów, jakże wygląda? Bardzo zgnębiony?

— Byłem z nim na obiedzie u księcia Z. Trochę przybladł, ale powiadam państwu śliczny jest. Gdybym był kobietą...

— Wiemy, wiemy, jesteś wielbicielem jego. Ale cóż mówi, jak się po tem wszystkiem zachowuje?

— Jest najspokojniejszy. Rozmawiał z księciem o hodowli inwentarza i wywozie zboża za granicę.

— Dziwny człowiek, zimny — powtarzano dokoła.—Nic go złamać nie zdoła.

Z kąta salonu odezwał się głos:

— Przynajmniej nie kobieta.

— Tak sądzisz, hrabio?—zapytała pani domu.

Zagadnięty, człowiek siwy, bardzo poważny, zazwyczaj milczący, trochę dziwak, bywający w salonach dla dwóch córek na wydaniu, odpowiedział z pewnością:

— To niezawodne. Znam go od dziecka. Czuły jest i wrażliwy, ale znam jedno tylko nieszczęście, któreby go zabić mogło.

— A tem?

— Gdyby, na przykład, tatarzy kraj napadli, spustoszyli, ludzi wycięli w pień, a jego z odciętemi rękami zostawili samego wśród zgliszcz i popiołów.

— Gdyby to August słyszał, podziękowałby hrabiemu za taką opinię.

— Gdyby był innym, jestem pewny — dodał hrabia—stryj jego, stary major, w łeb by mu palnął.

Słowa te zrobiły wrażenie. Kobiety zachwiały się trochę w opinii o Auguście. Taki nieugięty charakter ma coś pociągającego w sobie, lecz zarazem zniechęca kobiety, które chcą koniecznie władać mężczyznami. Miały więc urazę do niego, a zarazem, pomimo, iż wzgardzeni w ogóle nie cieszą się sympatyą, stawały po jego stronie. Jego odepchnąć, myślały panie, to niegodziwe, jego!...

Mężczyźni, a przynajmniej znaczna ich część, podobnież nie wiedzieli co sądzić, czyją brać stronę. Lękali się trochę Heleny, która była zdolną takiemu Augustowi dać rekuzę. Na chwilę nie mogli mu odmówić wyższości nad sobą. Potem samolubstwo wzięło górę i myśleli: kto wie, a jeśli się

uda? Od ubytku rywala i to tak niebezpiecznego, głowa nie boli...

Wkrótce atoli opinie ustaliły się.

Panie bez wyjątku wzięły w obronę Augusta, przeciwko nienawistnej Helenie. Oburzały się na nią, robiono w myśli i pogadankach po za oczy tysiączne zarzuty tej strasznej uwodzicielce, która nagle po nad swe towarzyszki wyrosła i wydarła im panowanie nad mężczyznami. Nikt przed nią nie był bezpiecznym. Jakiś popłoch zaczął się szerzyć pomiędzy kobietami. Żadna nie miała dość zaufania w siły i przymioty własne, aby się nie lękać walki z Heleną. Drżały o mężów, kochanków, narzeczonych, ojców nawet—bo wszyscy schylali głowę przed tą „piękną Helenę,” jak ją ktoś raz nazwał. Mężczyźni stanowczo oświadczyli się za Heleną. Umiała sobie zjednać w nich gorących stronników.

Niby kłosy bujne kłaniały się przed nią męzkie głowy, a ona, dobra, troskliwa żniwiarka schylała się po nie ostrożnie, nie gardząc najmarniejszym nawet.

Złośliwe panie utrzymywały, iż Helena postanowiła rozkochać w sobie wszystkich mężczyzn na świecie. Podziwiano jej zdolność w tym kierunku, której nigdy nie przewidywano. Wszak tak niedawno jeszcze mówiły o niej: to dziecko! Dawały pierwszeństwo matce.

Jeśli dawniej pani Rudzka nie miała prawdziwych przyjaciółek, bo ostatecznie wszystkie jej zazdrościły powodzenia u mężczyzn, piękności, wdzięku, którym oczarowywała, to teraz otaczały ją

wielką serdecznością. Może dla tego, że przestała być niebezpieczną, może przeczuwano jej cierpienia ukryte, które odbijały się coraz wyraźniej w rysach i pomnażająch się zmarszczkach. Zresztą, jeśli dawniej obudzała zazdrość, to nigdy nienawiść, jak Helena. Pociągała ku sobie mężczyzn lecz i do kobiet miała szczęście. Taka była serdeczna, szczerze wesoła, że wśród śmiechu zapominano jej popełnione *„zbrodnie"*

Tymczasem Helena, zdobywając serca mężczyzn i bawiąc się niemi, niby dziecko piłką, nie miała spokoju. Coś ją wewnątrz targało, jakiś głos budził ze snu, w samotności nasuwał myśli, od których czoło bruździło się ciężkiemi fałdami. Z trudnością zdobywała równowagę. Zbyt nagle wskoczyła w wir życia, porwana jedną szaloną myślą, postanowioną w chwili gniewu, aby módz spokojnie ułożyć i przeprowadzić plan wielkiej zamierzonej kampanii.

Uwierzyła w potęgę piękności i chciała być potężną. Dotknięta powodzeniem matki, chciała jej dorównać i zerwała się nagle, paląc za sobą mosty, nie zabierając z dzieciństwa swego nic, prócz piękności. Chciała dać Augustowi nauczkę i sądziła, że jej się udało zupełnie. W chwili rozstania, śmiała się z jego litości. To aktorski frazes, mówiła sobie, oni wszyscy, ci wielcy mężowie, bohaterowie, z wielkiej złości zdobywają się na powagę i rzucają nam litość na upokorzenie. To strzały uciekającego wojska. .

Była przekonaną o jego miłości głębokiej, zna-

jąc charakter poważny; to też ten tryumf cieszył ją najbardziej. Z szalonym humorem zawracała głowy wszystkim napotkanym mężczyznom; a nie brakło ich w Ostendzie i Paryżu, dokąd z górskiego ustronia udały się z matką.

Wróciwszy do kraju, dokładała wszelkich starań, by się dowiedzieć, co się z Augustem stało. Zebrane wiadomości dotknęły ją do żywego. Musiała uwierzyć, że nie kłamał, mówiąc: lituję się nad tobą! To nie był bynajmniej bohater teatralny, ale człowiek, w którym coś wielkiego się mieściło. Co, nie wiedziała sama. Nie umarł, nie chorował, nie rozpił, ani się puścił w wir mętnych rozrywek, chociaż była pewną, że to uczyni. Jak to, myslała, więc on, co mnie tak szalenie kochał, który drżał ze wzruszenia, gdym na niego spojrzała, odepchnięty, wyśmiany wrócił do swych zajęć, które robią go rozgłośnym, otaczają najwybitniejszymi ludźmi...

Szał ją porywał. Czuła się upokorzoną, godną istotnie litości tego człowieka, który się nie dał złamać jej potędze, potędze władającej światem całym.

Biada w takiej chwili wielbicielom Heleny. Deptała ich niemiłosiernie, szydziła, odpychała, czuła ochotę do pozabijania ich wszystkich.

Takie dzikie porywy czyniły ją na chwilę straszną. Sama z przerażeniem odwracała się od zwierciadła, które bez ogródki mówił: brzydka jesteś! I wnet, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różczki zmieniała się twarz Heleny i spokojniała, znowu jaśniała całą potęgą majestatycznej piękności. Na

utratę choćby chwilową tej piękności za nicby się nie zgodziła. Był to jedyny skarb, jaki posiadała. Wiedziała o tem i nie myślała ani odrobiny z niego uronić.

Pani Rudzka tymczasem szybko się starzała. Wewnętrzne zgryzoty ją trawiły. Nie mogła odzyskać dawnej równowagi.

Żyła dotąd prawie bezmyślnie, nie zastanawiając się nad celem życia i jego obowiązkami. Zdawało jej się, iż wszystko składa się tak, jak być powinno. Była żoną wierną, potem używała swobody wdowieństwa bez niczyjej szkody; była matką *dobrą*, kochała swe dzieci... Cóż więcej miała uczynić? A że sama miała wiele chwil szczęśliwych, dzięki swej piękności, więc cieszyła się urodą Heleny i jeśli kiedy myślała, marzyła, to o świetnej dla niej przyszłości.

Młodszą córką, Bronisławą, mało się zajmowała—miała niewygasłą urazę do nieboszczyka męża, za brak zaufania, czy widzimisię przedśmiertne. Odebrał jej córkę, dała ją bez wahania, lecz zarazem oddaliła się sercem od niej. Od urodzenia, Bronka zupełnie niepodobną była do Heleny. Żywa bardzo, miała coś chłopięcego w sobie. Z ślicznych jej szafirowych ocząt przebijała odwaga i zuchowatość. Raziło to matkę. Odkąd zaś Bronka zostawała u babki, zmieniła się jeszcze bardziej. Nie zatraciła swych męzkich cech, lecz obok tego wychowywała się w prostocie i pobożności. Śmiała, szczera, zamiłowana w pracy gospodarskiej, była zarazem skromną, posłuszną woli starszych.

Pani Rudzka nigdy nie miała serca do matki męża, przeczuwając, że i pułkownikowa nie zbyt ją lubi. Zawsze były z sobą zdaleka. To utrudniało częste widywanie się i coraz bardziej odsuwało matkę od Bronki.

Teraz dopiero serce macierzyńskie zaczęło tęsknić do drugiego dziecka, jakby spodziewało się tam znaleść osłodę w cierpieniach sprawionych przez Helenę. Parę razy bodaj na krótko jeździła do pułkownikowej i pieściła Bronkę, jakby chcąc sobie wynagrodzić stratę wszystkich lat poprzednich.

Bronka matkę kochała bardzo i cieszyła się jej odwiedzinami. Byłaby chętnie pojechała do miasta, nie dla miasta samego, lecz aby być bliżej tej tak mało znanej matki. Ale babka na to nie chciała się zgodzić.

— Nie dam Bronki—powiedziała wprost synowej—bo by to ją mogło popsuć. Wiem, że to przykrość ci sprawi, ale inaczej być nie może. Stach by się w grobie obrócił, gdybym to uczyniła, gdyby Bronka miała się stać podobną do tej lalki salonowej, która w sobie miłości, ani Bożej, ani ludzkiej nie ma. Przyjeżdżaj ile razy chcesz, lecz nie mów mi o zabraniu dziecka. Widzisz przecie, że jej się tu nic złego nie stanie, zdrowa jest, zadowolona i da Bóg, wstydu nam nie zrobi...

Pani Rudzka płakała w samotności rzewnemi łzami, bo teraz dopiero prawdziwie Bronkę pokochała, poznała jej zalety.

— Ona będzie szczęśliwą... mówiła sobie w du-

chu i pocieszała się tem w swych smutnych myślach.

Z Heleną mało nawet rozmawiała. Piękna córka postarzałej matki nie słuchała, w rozmowach stawała się przykrą, samowolną.

— Robię to tylko, czegoś mnie nauczyła—mawiała.—Jestem piękną i to cała moja zbrodnia, ależ ty sama, matko, wskazałaś mi, co mam z mą pięknością zrobić—władać, tryumfować—czyż czynię co innego?

— Tyś mnie fałszywie pojęła, Helenko, przebacz niebacznie rzucone słowa, daj pokój tym szalonym igraszkom, na widok których strach mnie zbiera...—prosiła ze łzami.

Helena odpowiadała jej śmiechem.

— Niech mama będzie spokojną o mnie, nic złego mi się nie stanie. Bawię się doskonale i nie myślę się tej rozrywki wyrzekać. Przyjdzie pora, osiądę na dewocyi, choćby w klasztorze... ale daleko jeszcze do tego.

— Mów co chcesz, ale niepokoju nie pozbędę się, dopóki nie ujrzę cię zabezpieczoną na przyszłość... Czuję, że nie długo będę żyła... co wtedy z tobą się stanie? Kto się tobą zaopiekuje?... Przy kim zostaniesz?

— Zbyt się trwożysz, mamo, — odpowiadała czulej Helena—chora jesteś od pewnego czasu, ale to przejdzie... Pojedziemy do kąpiel, odżyjesz, będziesz znowu wesoła, a wtedy wszystkie czarne myśli odlecą...

— Pamiętaj o słowach moich, Helenko, wiem

co mi jest... może prędzej, aniżeli sama sądzę, opuszczę was...

Łzy przerywały jej mowę.

Córka uspakajała ją, jak mogła, ale wreszcie sama spostrzegła, że matka coraz gorzej wygląda, traci siły, po nocach nie sypia, a pomimo tego nie chce się radzić lekarza. Zaczęła się seryo zastanawiać nad tem, co pocznie, gdy matki zabraknie. Najbliższą, jedyną krewną była babka, do niej więc musiałaby nieodzownie pojechać... Nie, nigdy! Zostać bez opieki samej jednej... nie wypadało... Świat by ją odepchnął, jak awanturnicę...

Nie zostawało nic innego, jak pospieszyć się, z zamęściem. W ten sposób zabezpieczy sobie przyszłość, swobodę... ba nawet będzie jej miała więcej aniżeli obecnie. Wiedziała dobrze, jaka różnica jest pomiędzy sytuacyą kobiety zamężnej, a panny.

Gdy już nie mogła się łudzić, co do zdrowia matki, postanowiła wyjść za mąż.

Pozostawał wybór i to nie łatwy.

Konkurentów jej nie brakło. Przeciwnie, taki tłum ją otaczał, że inna straciłaby głowę, chcąc jednego z nich wybrać. Byli młodzi i starzy, zamożni i bogaci, piękni, przystojni i brzydcy nawet; wszyscy na wyścigi starali się o względy pięknej, bogatej panny, wiedząc, iż niebawem musi jednego z nich wybrać.

Kogo wybierze? To było najciekawszem pytaniem salonowego świata. Kobiety ginęły z ciekawości, mężczyzni spoglądali na siebie zawistni, bo każdy widział dokoła tylko rywali. Wówczas

w opinii tych sfer tylko żonaci byli zacnymi, godnymi przyjaźni. Byli wszakże rywale, którzy tylko powszechną wesołość budzili. Do takich bezwątpienia należał hrabia Z.

Był to człowiek stary, schorowany, zniszczony życiem nierządnem, a przy tem kolosalnie bogaty.

Starzec ten zapłonął po raz ostatni tym fałszywym ogniem, który oświeca całe życie jemu podobnych indywiduów, a który oni nazywają *miłością*! Mniejsza o profanacyę uczucia, boć żądza czy zachcianka starca nie godna tej nazwy, ale starzec—milioner zapalił się cały i był najzapamiętalszym wielbicielem Heleny. W wybrykach niby miłości przechodził wszystkich młodzieńców. Był w obec swego wieku i steranych sił nad podziw wytrwałym. Śmiano się z niego, ale on na seryo uwielbiał Helenę i gotów był dla niej uczynić wszystko.

Helena naprzemiany, to bardzo była dlań łaskawą, to znowu lekceważyła go, co tem bardziej jeszcze podniecało jego zapał.

Pewnego dnia, po świetnym balu u pani Rudzkiej, który trwał do białego ranka, już po trzeciej po południu posłała Helena Józię z zapytaniem, czy mogłaby się z matką widzieć.

Pani Rudzka ledwo co wstała, znękana, chora, nie mogła się prawie podnieść z szezlągu w swym buduarze. Pomimo tego przyjęła Helenę, wiedząc, iż ta nie bez powodu chce z nią mówić.

Helena weszła poważnie, ale jaśniejąca całym blaskiem młodości i urody i nie mogła się powstrzy-

mać od lekkiego westchnienia na widok matki, tej samej, która przed rokiem jeszcze była królową salonów i z której przyczyny ona pierwsze może w życiu łzy wylała. Teraz ta świetna kobieta przedstawiała prawie przerażający widok. Bal, na którym z obowiązku gospodyni, musiała wytrwać do końca, pozbawił ją wszystkich sił. Leżała pół martwa.

Wyciągnęła rękę ku córce, zimną, wilgotną. Dreszcz przeniknął Helenę.

— Mama chora?

Odpowiedziała poruszeniem ręki.

— Trzeba koniecznie posłać po doktora S.— mówiła Helena łagodnie.

— Za późno... przeżyłam wszystkie siły, żyjąc bez rachuby, bez miary. Nagle coś mi się stało, czego nie umiem określić, ale to pewna, że już teraz nie pomoże żaden lekarz. Ty jedna możesz mi jeszcze osłodzić gorzki koniec wesołego życia..

Helena usiadła obok matki, lecz nie mogła mówić.

— Jedną tylko mam prośbę do ciebie — mówiła matka dalej—jedno życzen'e... Nie ociągaj się Helenko... Jutro możesz zostać sierotą...

— Mamo!...

— Nie chcesz wierzyć... a jednak, bodajś się za późno nie przekonała, że mówię prawdę. Dla czego zwlekasz?... Czyż nie masz w kim wybrać .. Zostawiłam ci swobodę, rozrządź sobą podług własnej woli, idź za popędem własnego rozsądku, jeśli nie

serca. Ja tylko pragnę zdać opiekę nad tobą i... abyś ty była szczęśliwą...

Po długiej chwili odezwała się Helena:

— Wczoraj oświadczył mi się...

— Kto?...—Podniosła się na szezlągu i z niecierpliwem oczekiwaniem patrzała na Helenę. Ręką przyciskała serce, które gwałtownie bić zaczęło.

— Hrabia Z...

— Heleno! — krzyknęła matka —Jeśli nie szanujesz we mnie matki, to uszanuj przynajmniej kobietę chorą, starszą od ciebie, z którą pewne żarty w pewnych chwilach nieprzystoją.

Gniew zarumienił jej blade twarze, głos stał się ostrym. Cierpiała wiele, przebaczała córce, pozwalała na różne wybryki, z poświęceniem ostatka sił urządzała bale, a ta córka widząc ją złamaną, umierającą prawie, na słowa ciepłe, serdeczne, testamentalnie niemal ważne, odpowiada żartem, godnym kucharki!

Helenę znów dotknął gniew matki. Wchodząc do jej pokoju, czuła litość dla chorej, nie myślała jej zranić. Coś jakby miłość dziecięca, której zapomniała, odkąd stała się kobietą, *piękną* kobietą, zadrgało w jej piersi. Lecz ton gniewny głosu, potępienie z góry tego, czego jeszcze nie wypowiedziała, uczyniły ją zimną, nieczułą; oburzyło ją.

— Matko, nie żartuję wcale. Hrabia Z. oświaczył mi się na balu i dziś przyjdzie po odpowiedź.

— Jestem chora, nikogo nie przyjmuję.

— Ja upoważniłam hrabiego do tych odwie-

dzin i ja mu dam odpowiedź—odrzekła Helena, prostując się wyniośle.

— Odpowiedź?

— Skorzystam z swobody, o której mnie tyle razy zapewniałaś, matko i...

— I...?

— Propozycyę hrabiego przyjmę...

— Bezwstydna!—krzyknęła matka i padła na poduszki.

Helena przywołała służącę i po chwili, widząc matkę spokojniejszą, wyszła z pokoju.

Wieczór dała Józia znać panience, że wielmożna pani chce z nią mówić.

Helena zastała matkę spokojną.

— Wybacz Helenko memu uniesieniu...

— Nie mówmy o tem, mamo...

— Owszem, chcę ci się wytłumaczyć. Ty wiesz przecie, że tylko twego szczęścia pragnę...

Mówiła łagodnie, a w głosie jej drżały łzy.

— Wiem o tem, lecz pocóż było mi tyle kroć powtarzać, że mogę swobodnie, samoistnie rozporządzać moją ręką i osobą!

— Nie cofam tego, tylko muszę przecież przestrzedz cię, gdy tak szalony, nierozważny powzięłaś zamiar. Hrabia Z...

— Był dzisiaj. Wytłumaczyłam mu nieobecność mamy w salonie chorobą i przyrzekłam zostać jego żoną...

Matka wpatrzyła się w córkę, jakby ją wzrokiem do głębi duszy przeniknąć chciała. Nie wątpiła już, że Helena nie żartuje. Nie wyrzekła ani

słowa. Oczy szeroko rozwarte powoli zamykały się, aż z pod powiek wypłynął strumień łez, a z piersi wydarło się łkanie straszne, bezdennie bolesne.

Choroba pani Rudzkiej wzmogła się nagle. Przywołany lekarz nie mógł znaleść środka uspakajającego.

— Zmienić miejsce pobytu; klimat nasz za ostry na siły chorej. Jeśli nie wyjedzie zaraz, za nic nie ręczę. Paraliż płuc nie byłby niespodzianką.

Gdy Helena przedstawiła matce konieczność wyjazdu i obawy na wypadek nieusłuchania rady lekarza, ta zamiast odpowiedzi, zapytała:

— Czy nie zmienisz postanowienia?. .

— Nie mamo—łagodnie, ale stanowczo rzekła Helena.

— Powiedz hrabiemu, aby wyrobił indult. Weźmiecie ślub w Wiedniu, za tydzień najdalej...

VI.

Dopiero na następny sezon zimowy wróciła Helena w żałobie do kraju.

Wyglądała w czarnym stroju wspaniale, prześlicznie.

W „towarzystwie" zakipiało. „Młode" małżeństwo stanowiło prawie jedyny temat rozmów. Obozy zarysowywały się widocznie. Niektórzy nie wiedzieli do której partyi się przyłączyć — do zwolenników pięknej Heleny, czy do jej przeciwników. Ten ostatni obóz, stanowiły kobiety wyłącznie.

Wiadomość o ślubie Heleny oburzyła je wszystkie. Znajdowano małżeństwo to potwornem... Opowiadano sobie ciekawe szczegóły, ubolewano nad panią Rudzką, a kiedy w tydzień po ślubie córki umarła, dojechawszy ledwo do Wenecyi, mówiono: lepiej dla niej, przynajmniej nie będzie musiała patrzeć na życie tej szalonej córki. Nikt nie miał odwagi, ani chęci, stanąć w obronie Heleny.

Podobnych skandali nie pamiętano w „towarzystwie,” pomimo, iż w tej sferze najmniej się na wymagania serca oglądano. Ale rozumowania pań były logiczne. Jeżeli się sprzedaje kobieta uboga dla zdobycia majątku, zbytku, spokoju — to da się usprawiedliwić. Jesteśmy wszystkie słabe, życie bez trosk, blaski, chociażby drogo okupione mają nieprzeparty urok. Ale gdy kobieta sama posiada majątek, gdy ma do wyboru wszystkich mężczyzn swej sfery, nawet bardzo bogatych, a wybiera... trupa—to wstrętne.

Była to jednogłośna opinia w pośród kobiet.

Mężczyźni zapatrywali się na fakt małżeństwa Heleny odmiennie. Niektórzy nie umieli wprawdzie ukryć pewnego niesmaku, ale tych było nie wielu.

Większość rozumowała inaczej. Pokrzywdzeni tym wyborem nie mieli żalu do Heleny, przeciwnie zdawali się podziwiać jej spryt. Gdyby była kogokolwiek innego wybrała, byłaby sobie zrobiła sporo nieprzyjaciół. Ale hrabia Z. dla nikogo nie był strasznym. Ktoś jeden musiał zostać wybranym; lepiej że on właśnie. Taki mąż nie łamał niczyich nadziei. Bądź co bądź, Helena zdobyła miliony za cenę niedługiego przymusu. Wiedziano, że nieda się mężowi w niczem krępować, a lada dzień może zostać wdową...

Odtąd wszyscy— naturalnie po za oczy, nazywali ją „piękną Heleną,” męża jej „Menelausem.”

Nieskończona jeszcze żałoba po matce, nie pozwalała Helenie brać udziału w balach, ani ich dawać u siebie. Wizytując wszakże znajomych, zapo-

wiedziała cały szereg rautów i herbat bez tańców wprawdzie, lecz świetnych i niezawodnie przyjemnych.

Bystry wzrok Heleny spostrzegł w przyjaciółkach i znajomych znaczne oziębienie. W kilku najwybitniejszych domach musiała tylko karty zostawić, bo państwa albo nie było, albo pani chora...

To wcale nie dwuznaczne. Helna zagryzała usta ze złości, której cały zapas spadał na głowę męża.

Szczęśliwy małżonek mógłby wiele o swem szczęściu powiedzieć. Nie odmłodziło go ono bynajmniej. Tyranizowany przez Helenę, wszystko musiał znosić.

Raz kazała mu bez wytchnienia jeździć z wizytami, chociaż siły jego ledwo wytrzymywały trud ciągłego wsiadania i wysiadania z powozu. Gdy zaś żalił się na zmęczenie, zostawiała go w domu, jeździła sama i nawet nie pozwalała mu wychodzić do gości.

— To dla ciebie zbyt męczące, zostań w swoim pokoju—mawiała tonem ironicznym, ale stanowczym.

Rauty nie bardzo się udawały. Brak było pań, które stanowczo usuwały się; umyślnie urządzały bale tegoż samego dnia, wymawiały się zmęczeniem lub chorobą. Garstka mniej stanowczych i odważniejszych, ginęła w pośród masy mężczyzn, którzy znowu opuszczali bale, wieczory rodzinne, byle tylko módz patrzeć na piękną Helenę, rozmawiać z nią, upijać się formalnie czarem, który ogarniał wszystkich.

Z początku bolało Helenę to opuszczenie ze strony pań; czuła się pogardzoną. Wkrótce jednak podniosła dumną głowę do góry.

— Pożałują tego kiedyś!

Psuła wszystkie zabawy i bale, tego sezonu, zagarniając całą prawie młodzież do swego salonu, który ktoś złośliwy nazwał czarnym klubem, robiąc aluzyę do żałoby Heleny i fraków mężkich.

Kobiety gniewały się, dokładały wszelkich starań, aby powstrzymać emigracyę panów z salonów do tej ziemi obiecanej, lecz wszelkie usiłowania były daremne.

Korzystając z żałoby Heleny, nie zapraszano jej na bale, co tem więcej ułatwiało usunięcie się od niej; nie mniej przeto zajmowano się nią ciągle. Była przedmiotem rozmów na każdem zebraniu; interesowano się każdym szczegółem jej życia, powtarzano je bez końca, przerabiano dowolnie—a pomimo tego mężczyźni coraz liczniej i chętniej gromadzili się w salonach pięknej Heleny i formalnie głowy dla niej potracili.

Nikt z bywających u pani hrabiny nie zazdrościł hrabiemu. Naśmiewano się z niego, a niektórzy mieli nawet odwagę ubolewać nad nim. Znano przecież okrucieństwo Heleny. W ogóle widywano hrabiego coraz rzadziej. Niedomagał, a żona nie pozwalała mu nadużywać wątłych sił.

Często postępowanie jej wywoływało gwałtowne sceny. Nie raz wśród najweselszej zabawy zbliżał się kamerdyner do pani i coś cicho jej mówił. Widocznie ją to drażniło. Niekiedy zniecier-

pliwiona wychodziła na chwilę, a wyjście jej komentowano sobie w salonie wcale nie dwuznacznie. Wiedziano, że szła do męża.

— Czemu ty ich niepowypędzasz—zrzędził starzec coraz zgryźliwiej—kiedy ja jestem chory i nie mogę się ruszyć z pokoju, nie powinnaś urządzać zabaw, od których dom się trzęsie. Zdaje mi się, że jeszcze kiedy wszystkie ściany popękają od śmiechu...

Helena śmiała się z niezadowolenia męża, ale gdy ją przywoływał podczas zebrania, wpadała w gniew.

— Prosiłam cię tyle razy, byś mi dał spokój, gdy mam gości.

— Rozpędź ich; hałasują, spać nie mogę.— Zresztą ożeniłem się nie na to, aby oni mieli gdzie i z kim się bawić...

— Schowaj sobie te głupie dowcipy i raz jeszcze powtarzam nie nasyłaj mi lokai do salonu, to głupio wygląda... Zakażę im to stanowczo...

— To ja sam przyjdę i wypędzę tych gachów!— krzyknął starzec, trzęsąc się ze złości.

— Ty, śmiałbyś!?

— Jestem mężem, mam prawa...

Pusty śmiech Heleny był odpowiedzią na te mężowskie prawa. Gwałtownie zatrzaskała za sobą drzwiami i nie pokazywała się więcej u męża. Czasem nie pozwalała mu wejść do swoich pokoi przez parę dni. Tłumaczyła się chorobą. On najpierw zżymał się, gniewał, groził, ale gdy to nic nie pomagało, udawał się w prośby, łagodniał, stawał się

pokornym jak student zakochany. Wtedy wychodziła do niego do małego saloniku, jak gdyby przyszedł z wizytą. Padał przed nią na kolana, jęcząc z bolu, jaki mu to sprawiało. Odsuwała się z obrzydzeniem.

— Heleno, ty mnie takiem postępowaniem zabijasz!

— Nie wymagaj rzeczy niepodobnych...

— Ja cię tak kocham, żyć bez ciebie nie mogę...

— A ja z tobą ..

— Gadzino!—krzyknął—tych cesz zostać wdową?

— Wolałabym, aniżeli być twoją żoną.

Podobne sceny kilka razy się powtórzyły i... przyspieszyły niezawodnie spełnienie życzeń Heleny.

We dwa lata po ślubie, znowu musiała przywdziać żałobę. Była wszakże wolną.

Odetchnęła głęboko, jakby po przejściu najcięższem.

— Koniec ofiarom, teraz żyć zaczynam!

Dotknięta przez kobiety tej sfery towarzyskiej, do której miała wszelkie prawo należeć, nierzadko wyłamywała się Helena z karbów form i więzów— „nie wypada." Jednakże zupełnie jeszcze ze światem salonowym nie zerwała, nie chciała mu jawnie i we wszystkiem rzucić rękawicy. Chciała okazać, iż ma niezbite prawa należenia do „towarzystwa" i dla tego, choć miała wielką ochotę zamiast nosić żałobę, rozpocząć życie wesołe, z balu na bal, pełne śmiechu, zbytku i swobody — poddała się formom bodaj pozornie.

Gdy jednak już po paru tygodniach czuła się

znużoną udawaniem niepocieszonej wdowy, gdy zakon salonów nie pozwalał nawet na zebrania w małem kółku, bywanie w teatrze, na koncertach i t. p. wyjechała za granicę.

Postanowienie powzięła szybko, bez wahania. Wyjeżdżając nie żałowała nikogo, bo była pewną, że towarzystwo znajdzie wszędzie—tylko tam daleko za granicami kraju będzie się mogła bawić swobodnie, nie będzie potrzebowała zadawać sobie przymusu. Nosić żałobę po tym starym, schorzałym, niedołężnym „mężu," wydało jej się ironią.

Liczni wielbiciele odprowadzili ją na dworzec kolei i tęsknym wzrokiem spoglądali ku tej czarodziejce, dla której gotowi byli jeśli nie na wszystko, to na bardzo wiele.

Na licznie wypowiadane żale z powodu jej wyjazdu, rzekła z uśmiechem:

— Nie jadę do dzikich ludzi i pustych krajów... Może się gdzie drogi moje skrzyżują z waszemi. Chyba, że panowie przysięgliście nie opuszczać przez rok cały ojczystego zagonu!...

— A gdyby kto z nas zapragnął dopomódz przypadkowi?

— Jadę do kraju cyprysów...—rzekła z uśmiechem.—Dla was, mężczyzn jest to kraj laurów!

— Gdyby mieć pewność, że tam nas laury czekają, to niezawodnie dziś jeszcze pojechalibyśmy wszyscy...

— Ale, gdzież to pan Henryk? Nie przyszedł mnie pożegnać?

— Najwierniejszy z wiernych pani... zdradził. Od kilku dni już go wpośród nas nie ma.

— Cóż się stało—pytała Helena zainteresowana.

— Wezwany przez starego, a krezusowo bogatego stryja, pojechał na Ukrainę po złote runo. Pewno nie rychło powróci.

Dzwonek przerwał rozmowę.

— Do widzenia, do widzenia—wołali zostający.

Skinęła ręką raz, drugi i zniknęła z oczu tego tłumu, przenikniętego jedną zgodną myślą. Ludzi, którychby pragnienia bardziej były do siebie podobne, trudnoby było tylu zebrać w mieście całem.

— Szkoda, że nie stanowimy parlamentu—zawołał któryś — coby to za harmonia między nami panowała:

— Tak, wszyscy wołalibyśmy jednozgodnie: chcemy, chcemy.

— A gdyby któremu wreszcie dostał się laur, zjedlibyśmy go natychmiast i tak dalej, dopóki by tylko jeden z nas pozostał.

Tego dnia, a raczej tej nocy w klubie tak zwanym końskim, odbywała się długa stypa. Wierni tradycyom wszyscy opuszczeni uznawali, iż na frasunek najlepszym jest trunek.

Właściciel bufetu, schylony nad rachunkiem, mówił sam do siebie:

— Czemu takich pięknych kobiet nie ma w mieście naszem trzysta sześćdziesiąt pięć i czemu co dnia jedna z nich nie wyjeżdża?

Niedoszli prawodawcy ziemi obiecanej, która na czas nieograniczony wymykała się z pod ich władzy chciwych rąk, topili w szumiącym winie smutek i szukali w nim nadziei i sił do oczekiwania.

Na teraz czarny klub został rozwiązany.

Wśród kobiet odżyła odwaga do zdobyczy i— swatania spiesznego.

VII.

Silna, zdrowa natura Augusta i wpływ stryja dźwignęły go szybko z rozpaczliwego upadku. Nie wstydził się swej słabości chwilowej po zerwaniu z Heleną, lecz przemógł ją energicznie i starał się zapomnieć o tej, którą tak serdecznie kochał. Po nad miłością, która całą jego istotę przeniknęła, unosiła się teraz litość.

Wiedział, że Helena stanęła nad przepaścią, w którą prędzej czy później się stoczy. Wątpił, aby znalazła się dłoń dość silna do powstrzymania jej na fatalnej drodze. Któżby tego mógł dokonać? Matka! Nie, tej brakło sił i wpływu. Teraz dopiero zrozumiał August gdzie leżała przyczyna złego. Własne spostrzeżenia, wsparte słówkiem zasłyszanem czasem w towarzystwie stryja i pułkownikowej, przekonały go o wielkiej winie pani Rudzkiej. Ale była zarazem niewinną. Źle wychowała córkę, prawdę mówiąc nie wychowała jej wcale, lecz stało się to dla tego, że właściwie nie miała pojęcia o wy-

chowaniu. Sama szczęścia nie zaznawszy zmarła zbyt rychło wśród cierpień moralnych, których się August domyślał z tego, co mu o pani Rudzkiej mówiono. Dla córki jej przewidywał smutniejszy jeszcze koniec.

Pomimo żalu za własne cierpienia, pomimo wstrętu, jakim go przejmowała myśl o małżeństwie Heleny, litował się nad nią.

U pułkownikowej bywał częstym gościem...

Zrazu lękał się jechać do niej, lecz uległ żądaniu stryja.

Przyjęła go z większą niż zwykle serdecznością, wiedząc już o tem, co go spotkało. Bronka witała go z siostrzaną prostotą.

Wkrótce uczuł, że dwie te kobiety pomagają mu do odrodzenia się, do zapomnienia o przebytych cierpieniach. Ze czcią słuchał zawsze słów pułkownikowej; z Bronką bawił się wesoło, lub zasiadał do stolika i uczył ją.

Babka nie chciała się zgodzić na oddanie jej na pensyę. Przyjęła nauczycielkę do domu i sama kierowała nauką. Słuchając jej poglądów pedagogicznych dziwił się August nie mało. Pomimo całego szacunku, jaki miał dla pułkownikowej, obawiał się, że wychowanie jej będzie zbyt anachronicznem. Lecz zawiódł się. Pułkownikowa miała bardzo jasny, zdrowy sąd o świecie i ludziach. Nie gardziła nauką, uznawała jej potrzebę, przyznawała się do nieświadomości pod wieloma względami szczerze i sama upominała, by Bronkę uczono tego, co mo-

że być kobiecie potrzebnem, a odkryto w nowszych dopiero czasach.

Uznawała pożyteczność kolei i telegrafów i nie miała nic przeciwko temu, aby Bronka poznała tajemniczą siłę, którą ludzie odkryli dla dobra ogółu. W ogóle nie była nieprzyjaciółką wiedzy i nie sądziła, aby ta w czemkolwiek mogła zaszkodzić kobiecie.

August uczył Bronkę fizyki i chemii — babka gospodarstwa domowego i religii. Wytyczną w jej teoryi pedagogicznej była zasada przez Kochanowskiego wypowiedziana: „Nauka bez cnoty, jako miecz w ręku szalonego."

Pod takim kierunkiem rosła Bronka i kształciła się na dzielną kobietę.

Major patrząc na nią podkręcał wąsa z zadowoleniem i spoglądał ukradkiem na Augusta. Często nachmurzał się i ręką machał z niechęcią. Ale ani słówkiem nie zdradził swych myśli.

Bronka była już panną na wydaniu, a tu w domu pułkownikowej gość rzadki, konkurenta ani na lekarstwo. Dziewczę nie czuło wcale tego braku. Od świtu do nocy była zajętą, a zawsze wesoła, śmiechem swym rozweselała dom cały. Babka często przytulała ją do piersi, całowała w główkę i tłumiła w sobie westchnienie, zdradzające ukrytą jakąś troskę.

Pewnego razu August przyjechawszy do pułkownikowej, konia nie kazał odprowadzić do stajni, bo spieszył z powrotem do domu. Przywiózł przyrzeczone książki dla swej uczennicy i przeprosił puł-

kownikowę, że nie może zabawić, lecz ma gościa w domu.

Odwiedził go niespodzianie kolega szkolny, gospodarujący obecnie w własnym majątku, o kilkanaście mil odległym... Był to przyjaciel Augusta, człowiek młody, wykształcony, wcale dobry, choć początkujący dopiero gospodarz; niezbyt bogaty, lecz pracowity i oszczędny.

— Cóż to za człowiek, ten Zarzycki?—zapytała pułkownikowa.

— Jeśli o przyjacielu można mówić szczerze i bez przesady, to powiem, że jest takim, jakim ja życzyłbym sobie być.

— Oho!—zawołała z dobrotliwym uśmiechem staruszka—zaciekawiasz mnie.

— Mówię szczerze zupełnie, bez pochlebstwa.

— Ma rodzinę?

— Matkę tylko, którą kocha tak, że po za nią nie widzi już kobiet dobrych na świecie. Ona też zakochana w jedynaku.

— I rozpieszcza go?

— Bynajmniej. Widząc w tem jego dobro, pozwoliła mu przez dwa lata praktykować w majątku starego księcia X., gdzie praktykanci zapominają o istnieniu pieszczot.

— Słyszałam o księciu. Podobno ostro trzyma paniczów, którzy do niego na naukę przychodzą.

— Prawdziwy rygor wojskowy tam panuje. Książę utrzymuje, że kto nie potrafi być dobrym parobkiem, tem mniej potrafi być rządcą. Sam za młodu ciężko pracował i dziś sobie nie folguje, po-

mimo, że dźwignął fortunę ogromną. Gdy ją obejmował od sekwestratorów, zastał niebo i ziemię tylko; dziś jest to najwzorowiej prowadzony majątek, najlepsza szkoła gospodarstwa praktycznego. Ale mało kto wytrzyma tę praktykę.

— A Zarzycki, powiadasz, całe dwa lata wytrwał?

— Tak, dziś jeszcze z przyjemnością wspomina czas u księcia przepędzony.

— Długo u ciebie zabawi?

— Pewno tydzień.

— I ty myślisz cały ten czas pilnować gościa, a do mnie nie zajrzeć nawet?—zapytała z wymówką.

— Owszem, przyjadę, ale nie wypada mi zostawiać przyjaciela samego. Nie mógł być u mnie rychlej, lecz teraz, urządziwszy się trochę w majątku, dostał urlop od matki, którą znam osobiście i wielce poważam i prawdziwą mi radość sprawił.

Pułkownikowa zamyśliła się. Po chwili rzekła.

— Jeśli jest takim jak go opisujesz, przyjedźcie razem. Smutno by mi było bez ciebie tak długo. Uprzedzam cię wszakże, że jeśli to furfant jaki, to zaraz komenderuję: w lewo w tył i jazda!... No, no, nie gniewaj się, ufam ci... przyjedźcie jutro na obiad.

Nazajutrz przy obiedzie u pułkownikowej, major z pod oka patrzał na nowego gościa. Jako przyjaciel Augusta był mu miłym, a jednak... Wąsy aż piszczały pod ciągłym naciskiem szarpiącej ręki. Coś staremu dolegało. Żżymał się i z uwagą przysłuchiwał każdemu słowu Zarzyckiego. Nic mu za-

rzucić nie mógł, przeciwnie musiał przyznać, że młody człowiek wyróżniał się z pomiędzy tej młodzieży, którą major znał.

Pomimo tego, major gniewał się na Augusta, za wprowadzenie intruza do domu, w którym dotąd obcych twarzy nie widywał.

Przez czas pobytu Zarzyckiego u Augusta, bywali obaj często u pułkownikowej. Zarzycki przypadł do serca staruszce, a że nie lubiła ceremonii, więc zapraszała go prawie co dnia.

— August prócz majora rodziny nie ma, więc ja muszę ją zastąpić w gościnności, — powiedziała wprost Zarzyckiemu.

On też nie dał sobie powtarzać zaprosin i nie spieszył się do domu. Matka urlop przedłużyła chętnie, a August radby był jak najdłużej zatrzymać przyjaciela.

— Wiesz majorze — mówiła pułkownikowa — ten Zarzycki bardzo mi się podoba. Dzielny i porządny chłopak.

— Ta, zapewne — cedził major przez zęby — ganić nie ma go za co, ale zawsze to nie to, co August...

— Ej, majorze, — zaśmiała się pułkownikowa — znasz przysłowie: każda liszka...

— Cóż to, ślepy jestem? — zawołał major zapyrzając się — albom to ja mego smyka kiedy przechwalał?

— No, no, majorze, czegóż się gniewasz! Augustowi nie ujmuję nic, ale i drugiemu godzi się przyznać sprawiedliwość.

— Ale bo pani pułkownikowa psujesz smarkacza swą dobrocią. Jeszcze gotów sobie pomyśleć, że...

— Że co?

Major ręką machnął i wielkimi krokami przemierzał pokój.

— Róbcie sobie co chcecie, ja od wszystkiego ręce umywam—rzekł w końcu.

— Ej stary, stary, a krew kipi, burzy się...— żartowała staruszka.

— Żeby to nie była pułkownikowa—pomyślał major—toż bym jej wyrznął pater noster—ale cóż, nie można, subordynacya...

Po wyjeździe Zarzyckiego major powesełał. Co dnia zajeżdżał po Augusta i zabierał z sobą do pułkownikowej. Nie raz tłumaczył się bratanek zajęciem, prosił o parę godzin zwłoki, ale stary gniewał się zaraz i burczał.

— Cóż to? jaje mędrsze od kury? Myślisz że ja już nie wiem kiedy gospodarz ma czas, a kiedy nie ma? Albo to u mnie szczury gospodarują, he?

— Niech się stryj nie gniewa; chciałem jeszcze zajrzeć do spichlerza i przeliczyć...

— Smyku, to ty stryjowi, majorowi ułanów przyganiasz? Niby ja się na tem nie znam? Ty mi chcesz powiedzieć: mógłbyś stryj był zostać jeszcze w domu, zajrzeć do spichlerza. .

— Ależ. .

— Głowa do góry i milczeć! Subordynacya. Twój ojciec był rotmistrzem i bratem moim. a milczał—wołał zaperzony major.

August prostował się po wojskowemu i odpowiadał:

— Majorze, za pięć minut koń osiodłany będzie przed gankiem, idę się przebrać w mundur galowy, bo nie wypada tak jechać do pani pułkownikowej...

— Idź mi zaraz, smyku, bo do karceru wsadzę za nieposłuszeństwo i... żarty.

August robił lewo w tył i wychodził. Wtedy łapał go major i ściskał.

— Ej, smyku, smyku, kiedy ty będziesz miał rozum?

U pułkownikowej przesiadywali tak długo, dopóki ich sama nie wyprosiła.

Wracając do domu, major bywał pochmurny. Rozmawiał z Augustem z widoczną niechęcią, jakby się gniewał na niego.

Pewnego razu August o czemś na uboczu rozmawiał z pułkownikową. Słuchała go z uwagą. Major był zajęty Bronką, która układała kwiaty w drugim rogu wielkiej sali.

— Pokaźno list — rzekła pułkownikowa półgłosem.

Major dosłyszał to i ciekawie przypatrywał się rozmawiającym.

Pułkownikowa zbliżyła się do okna i czytała.

— Poczciwie pisze — szepnęła. Po chwili rzekła głośniej:

— Wszystko to w rękach boskich. Niech przyjedzie.

— Wolno wiedzieć kogo to pani pułkownikowa oczekuje? — zapytał major, podchodząc do rozmawiających.

— Pan Zarzycki zapytuje przez Augusta, czy pozwolę mu przyjechać...

— Zarzycki?—powtórzył major przeciągle.

— Chce zabawić znowu czas jakiś u Augusta...

— A pani pułkownikowej pyta o pozwolenie?—ironicznie wtrącił major.

— Bo chce wiedzieć, czy będzie mógł bywać u mnie?

— Taaa...k?

— Dziwi cię to majorze?—Pułkownikowa zwróciła się ku Bronce i dostrzegła silny rumieniec na jej twarzy.

— Pójdź dziecko do mleczarni — rzekła do niej—pora zbierać śmietankę, a to twoje gospodarstwo.

— A do kroć set! — krzyknął major zaperzony.—Z taką polityką, to człowieka może porwać szewska pasya! I ty smyku śmiesz pułkownikowej taką prośbę przedstawiać?

— Spełniam życzenie mojego przyjaciela, nie sądząc, żebym w czemkolwiek pani pułkownikowej ubliżał.

— Bądź o to spokojny, wszakże pozwalam...

Major latał po pokoju, wymachując rękoma.

— Tak to, tak? Na dudka mnie chcecie wystrychnąć, furfanta jakiegoś sprowadzacie, kiedy ja tu siedzę kamieniem tyle lat i pilnuję...

— No, no majorze, znowu cię gorączka uno-

si—odezwała się łagodnie pułkownikowa.—Widzisz sam, że twoje pilnowanie...

— Na dyabła się zdało! Widzę to, widzę. A jakże ma być inaczej, kiedy ten smyk bez krwi siedzi jak baba i w belfera się bawi, a pani pułkownikowa jeszcze mu pomaga! Ha, cóż robić, nowe czasy nastają: precz stary, w kąt, teraz młodzi tu rządzą... Oj, żeby tu był pułkownik...

— To co?—zapytała ostro staruszka, a majorowi zdawało się, że słyszy głos pułkownika.

Zmięszał się, ręce gwałtem zniewolił do chwilowego spokoju i ciszej niż przed tem rzekł:

— Pani pułkownikowo, przebacz, ale myśmy sobie układali...

— Że zmusimy dzieci do pobrania się, choćby się nie kochali?...

— Nie kochali? A któż tu o tem mówi?

Spojrzał na Augusta i znowu zapalił się:

— Smyku ty, ty nie kochasz Bronki, ty śmiesz?

— Stryju — rzekł z żalem August—co byś ty o mnie pomyślał gdybym ci odpowiedział, że ją kocham? Powiedziałbyś, że kłamię, bo kto niedawno kochał jedną, dziś drugiej kochać nie może... Czyż stryj sądzi, że dla tego, iż jestem spokojny i nawet wśród pracy odzyskałem wesołość, zapomniałem o tem co było tak niedawno, kiedyś ty mnie ocalił, do życia przywrócił...

Staremu strasznie markotno się zrobiło. Żałował Augusta, czuł że go skrzywdził, ale sam bolał nad zawiedzionemi nadziejami.

— Serce nie sługa, majorze — rzekła pułkownikowa.

Stary zwiesił głowę. Po chwili wyprostował się, przycisnął Augusta do piersi i cicho zapytał:

— To ty biedaku cierpisz jeszcze, nie zapomniałeś?

August tylko głową poruszył na znak zaprzeczenia.

— A ja myślałem... Hm, taki skarb, taki klejnot odstąpić drugiemu...

Po chwili myślenia rzekł z przekonaniem:

— Zarzycki wart Bronki, skoro August mu ją oddaje...

Posmutniał stary już na zawsze.

Nawet na weselu Bronki ledwo mógł stłumić westchnienie i z żalem patrzał na Augusta.

VIII.

Pani Helena po odbyciu żałoby powróciła do kraju. Była tak piękną, jak nigdy dotąd. Mężczyzn doprowadzało to do szaleństwa—kobiety do rozpaczy. Salon jej stał się najsilniejszym punktem atrakcyjnym stolicy. Kto żył starał się u niej bywać. Wstęp zresztą nie był trudnym.

Helena lubiła gwar, ruch, życie, więc chętnie zapraszała każdego, kto tylko był jej przedstawionym i wyglądał o tyle przyzwoicie, o ile tego reguły salonu wymagają. Obok reprezentantów najwyższej arystokracyi można było w salonie pięknej Heleny spotkać nazwiska nowe, młode, ale mające pewne prawa do rozgłosu. Byli to artyści i literaci, których piękna gospodyni chętnie u siebie widywała.

Kobiet przyjmowała mało, bo... nie przychodziły. Większość stanowczo z nią zerwała. Zaledwie kilka pań, których niechętnie widywano w salonach stolicy, nawiedzało Helenę od czasu do czasu. Ostra-

cyzm kobiet nie wiele Helenę obchodził—rzuciła wszystkim rękawicę, czując się dość silną i nie gorszą od innych.

Za to męzka połowa otaczała piękną Helenę nieustannie i licznie. Nikt jej samotnej nie widział. Zawsze miała około siebie kilku bodaj adjutantów, a wszyscy na wyścigi współzawodniczyli w okazywaniu swej atencyi.

Wiedziano dobrze, że piękna wdówka nie jest nieprzystępną. Wskazywano sobie kilku szczęśliwych, którzy kolejno cieszyli się szczególniejszymi względami Heleny. Ostatnim był ów Henryk, o którego pytała z wymówką na dworcu kolei, a który niby pojechał pilnować spadku na Ukrainie.

Teraz nikomu już nie był tajnym ten spadek. Nie był to wcale majątek ziemski, lecz... wdowa po starym hrabi Z., piękna Helena. Na kilka dni przed jej powrotem i Henryk się zjawił, a później był nieodstępnym jej towarzyszem.

Zazdrościli mu tego szczęścia i usiłowali odbić.

Wiedzieli wszyscy, że szczęście takie nie od zalet osobistych zależy, lecz od kaprysu pięknej pani.

Mawiała czasem, że wszyscy mężczyźni są jednacy i każdy wybór może być dobrym, chociaż żaden istotnie dobrym nie jest.

Pomimo tego każdy starał się pozyskać fortunę i w chwili kaprysu Heleny, być jej najbliższym.

Były pewne, dla bystrego oka tylko dostrzegalne znaki; które pozwalały domyśleć się tych, pomiędzy którymi kaprys w najbliższym czasie ma rozstrzygnąć — jeśli przypadkiem Henryk z łaski

wypadnie. Najlepsi przyjaciele życzyli mu tego, lecz żaden nie umiał losu popchnąć do katastrofy.

Henryk nie tail się z tem, że jest wybrańcem pięknej wdówki. Odgrywał trochę rolę gospodarza w jej domu. Nie dziwiono się temu, znajdując go upoważnionym do takiego postępowania.

Zjawił się wszakże człowiek, który nie wiedział, czy udawał tylko, iż się nie domyśla praw Henryka w domu Heleny.

Był to młody, piękny, kolosalnie bogaty huzar, magnat węgierski, dumny z tego, iż sam jeden już tylko pozostał z znakomitego rodu, który przez kilka wieków krew i mienie składał na ołtarzu ojczyzny. Znano go w mieście z szalonej rozrzutności i fantazyi prawdziwego krezusa; wiedziano wszakże, że największe zbytki nawet nie nadszarpną jego fortuny.

Przybył podczas nieobecności Heleny i gdy tylko ją zobaczył, jak cień nieodstępował. Poznawszy się z Heleną, ciągle był przy niej, nie zrażał się kaprysami, zasypywał ją prezentami, ujmował grzecznością iście rycerską.

Podobał jej się. Był innym jak ci wszyscy, których spotykała co dnia od lat kilku.

Postępował tak, jakby go nic a nic nie obchodzili ci wszyscy, którzy stanowili czarny klub wielbicieli Heleny i pretendentów do jej względów.

Z Henrykiem postępował tak, jakby go nie było wcale na świecie. Nie szukał wszakże sprzeczki, na zaczepki nie odpowiadał wcale, czem tylko mocniej Henryka rozdrażniał.

Henryk bał się ogromnie rywalizacyi z huzarem. Był pod każdym względem niższym od niego, a w dodatku Helena okazywała nowemu wielbicielowi szczególne względy.

To go oburzało, postanowił wprost wysadzić niebezpiecznego rywala. Przystąpił do niego pewnego razu, podczas wieczoru u Heleny i bez ogródki powiedział, że nie życzy sobie jego zbyt wyraźnych zabiegów o pozyskanie względów kobiety, którą kocha.

Huzar udał, że nie słyszy ostatniego słowa, spokojnie oparł się o bufet, przy którym stał i zapalając cygaro, zapytał dość głośno, aby inni mogli słyszeć:

— Czy jesteś pan mężem hrabiny?

Henryk zmieszał się ogromnie, poczerwieniał z gniewu i nie wiedział co odpowiedzieć.

— Tak, czy nie?—powtórzył huzar zimno, lecz z naciskiem.

— No... nie...

— Więc czego pan chcesz, jakim prawem?...

— Ależ mówiłem panu...

— Jesteś pan narzeczonym?

— Narzeczonym?—powtórzył Henryk, mieszając się coraz bardziej.

Dokoła zaczęto się uśmiechać.

— I to nie? — mówił huzar. — Więc nie masz pan w tym domu nawet tych praw, które przysługują lokajom...

Odwrócił się, rzucił cygaro i wszedł do salonu,

dążąc wprost do gospodyni i z uśmiechem rozpoczynając rozmowę, jak gdyby już zapomniał o istnieniu Henryka.

Ten stał oniemiały z gniewu. Do koła słyszał złośliwe uwagi i śmiechy. Po chwili wybiegł z bufetu i już go tego wieczora nie widziano.

W trzy dni potem odbył się pojedynek dwóch rywali, z którego Henryk wyszedł bez szwanku; huzar padł.

O niezwykle wczesnej porze wpadł Henryk do Heleny, nie zatrzymywany przez nikogo. Miał pewne prawa i nie zwykł się meldować przez lokai.

Helena tylko co wstała. Ledwo miała czas zarzucić na siebie szlafroczek. Jeszcze go nawet nie zawiązała pod szyją. Właśnie usiadła przed zwierciadłem, aby to uczynić, gdy zobaczyła Henryka. Był pomieszany i blady.

— Aa..!—krzyknęła.

— Przepraszam, że tak rano wpadłem—zaczął z gorączkową szybkością—za pół godziny wyjeżdżam.

— Dokąd?—zapytała zdziwiona.

— Zabiłem P.—muszę uciekać za granicę...

Helena porwała się z krzesła, przestraszona, drżąca cała i cofnęła się mimowoli.

— Zabiłeś?!...

— No, tak; cóż dziwnego, pojedynek... Przychodzę pożegnać się... nie na długo... Wszak pojedziesz?...

— Ja?...

Gniew go porwał na widok jej strachu; tem zapytaniem podrażniła go jeszcze bardziej.

— To naturalne. Ja tu zostać nie mogę, więc przyjedź do Wenecyi...

— Nie, nigdy!

— Heleno, nie pora na żarty—zawołał zbliżając się do niej i chcąc ująć za rękę.

Wyrwała się i stłumionym głosem zawołała:

— Idź, idź, boję się.

Już nie mógł się dłużej hamować.

— Nie mam czasu na komedye, odłóż je na później.

Wyprostowała się dumnie, brwi ściągnęły się silnie i głosem, w którym ani śladu drżenia nie było, rzekła:

— Zechciej mnie pan opuścić. To nie pora na wizyty, a scen poufałych znosić nie myślę.

— Heleno, ty mnie do szaleństwa doprowadzisz!— krzyknął. — Jakto, więc ja nie mam prawa żądać...

— W tym domu i w obec mnie *nikt* nie ma *praw* żadnych.

Zadzwoniła na kamerdynera, który w tej chwili w drzwiach się zjawił i zanim Henryk mógł słowo przemówić, już Heleny w buduarze nie było. Tylko kamerdyner stał wyprostowany we drzwiach i z największym spokojem patrzał na wzburzonego gościa. Nie było rady. Trzeba było opuścić na teraz ten dom.

Postanowił później odwiedzić Helenę, ryzykując własne bezpieczeństwo, lecz nigdy jej nie zastał.

— Jaśnie pani wyjechała — mówił portyer za każdym razem, gdy Henryk się zjawił.

Obawa policyi zmusiła go wreszcie do wyjazdu.

Pojedynek i śmierć pięknego huzara, który dziś jutro miał zostać kochankiem Heleny, wstrząsnęły nią nieco. Żałowała zabitego — o Henryku nie mogła wspomnieć bez niechęci, wstrętu nawet. Na niego składała winę całej przykrości, której doznała.

Wszakże nie długo się martwiła. Nie czuła w sobie zdolności do smutku, lękała się zasępionego czoła i bladych lic. Miała w sobie ogromny zapas sił żywotnych; krew w jej żyłach kipiała żądzą zabaw, wesołości. Nie kochała sama dotąd, lecz chciała być kochaną, a bardziej jeszcze pożądaną. Hołdy i tryumfy popsuły ją zupełnie, nie pojmowała bez nich życia.

Właśnie w tym czasie przybyła do stolicy Bronka z mężem. Była w żałobie po utracie babki, która z uśmiechem odchodziła z tego świata, ciesząc się na spotkanie z pułkownikiem...

W tem osieroceniu pomyślała pani Zarzycka o siostrze. Niestety wiedziała o jej życiu za wiele. Zasłyszała nawet o pojedynku, który bynajmniej nie wpłynął na sposób postępowania Heleny.

Uczuła wyrzuty sumienia. Może ona przyczyniła się także trochę do wykolejenia Heleny? Odsunięta od rodziny, nie mając nikogo, ktoby ją wstrzymał w szałach, może nie z istotnego zepsucia szła wciąż po manowcach? Gdyby się do niej zbliżyć, sercem otoczyć, wciągnąć do swego domu—myślała Bronka—kto wie, czyby się nie udało naprawić bodaj w części tego, co lata długie popsuły?

Mąż podzielał myśl tę i chętnie zgodził się na odwiedzenie Heleny.

Przyjęła ich, nie tając bynajmniej zdziwienia w pierwszej chwili. Wkrótce wszakże z właściwą sobie uprzejmością rozmawiała z siostrą tak dawno nie widzianą i nieznanym dotąd szwagrem.

Była swobodną, wesołą; wyglądała na zupełnie szczęśliwą.

Zarzycki zostawił żonę, mając pilne interesa w mieście.

Bronka nie mogła zrazu zapanować nad wzruszeniem i biciem serca, zostawszy sam na sam z Heleną. Miała z nią mówić o rzeczach tak ważnych...

Helena wspomniała o majątku siostry, który urósł bardzo dzięki spadkowi po babce.

— To bogactwo jest mi zupełnie obojętnem. My tak mało potrzebujemy...

— Naiwna jeszcze jesteś, moja kochana—mówiła Helena — majątek nigdy obojętnym być nie powinien. On daje nam spokój, swobodę, szczęście...

— Szczęście? O, nie!—zawołała Bronka.

— Miałażbyś nie być szczęśliwą? — z zdziwieniem zapytała Helena.

— Ależ nie, niezrozumiałaś mnie. Chciałam tylko powiedzieć, że szczęścia nigdy nie widziałam w majątku, bo ono się nie daje kupić.

— Nie trzeba go kupować, ale gdy mamy pieniądze, samo do nas przychodzi.

— I ty to mówisz seryo?

— Najzupełniej. Po cóż daleko szukać dowodów, spójrz na mnie. Co bym ja poczęła w biedzie!

— Więc jesteś szczęśliwą?—pytała Bronka nieśmiało.

— Tak. Czegóż mi brak jeszcze? Mam majątek, swobodę, jestem piękną, uwielbianą...

— Ludzie dla ciebie zabijają drugich i sami się dają zabijać...—wtrąciła z wymówką siostra.

— Ach, jakażeś ty dziecinna! — zaśmiała się Helena.—Pewno słyszałaś o tym nieszczęśliwym P.? Ależ moja droga, cóż jam temu winna? Przykro mi to, zapewne; nie lubię pojedynków kończących się śmiercią, ale to czasem nieuniknione.

— I ty możesz z takim spokojem o tem mówić?

— Musiałabym ciągłą nosić żałobę, gdybym sobie brała do serca każdy podobny wypadek.

— Jakto?

— Wszakże to nie pierwszy pojedynek.

— Z twego powodu?

— Nie, tylko o mnie.

Bronka rozpłakała się.

— Co ci jest?—zapytała zdziwiona Helena.

— O, gdybyś wiedziała, jak mnie to smuci co ty mówisz, co robisz...

— Moja droga—rzekła Helena chłodno—dziękuję ci za współczucie, lecz ono zbyteczne zupełnie; nie lubię, by nademną ubolewano—choć co prawda, spotyka mnie to raz pierwszy. Ile mi wiadomo tylko nad nieszczęśliwymi jest zwyczaj płakać. No, a taką nie jestem.

— Więc jesteś szczęśliwą?

— Ależ tak, powtarzam ci raz jeszcze i jeśli ci czego życzę, to szczęścia podobnego memu...

— O, nie, nie...—zawołała Bronka.

Helena spojrzała na nią z ubolewaniem i litością.

— Gdybyś nie była jeszcze dzieckiem prawie— zdaje się, że zostaniesz niem zawsze—mogłabym się obrazić tym wykrzyknikiem. Tobie się zdaje, że jesteś szczęśliwą, ależ ty o szczęściu pojęcia nie masz; ty śpisz, ja żyję! Zresztą to rzecz zapatrywań, każda z nas czego innego pragnie, inaczej pojmuje swe szczęście. Jesteś z swego życia zadowoloną, dobrze, nie chcę ci odbierać iluzyi, ale zostaw mi moje poglądy i moje szczęście. Jesteśmy wprawdzie siostrami, ale zupełnie do siebie niepodobnemi. Ciebie wychowała babka na gospodynię wiejską, której pusty dwór i mąż wystarczają. Ja potrzebuję ruchu, ciągłej zmiany i panowanie nad ludźmi-mężczyznami przenoszę nad królestwo kur i indyków. Czyż inną była nasza matka?

— O, nie mów tak — protestowała Bronka— zostaw w spokoju naszą biedną, nieszczęśliwą matkę.

— Nieszczęśliwą? do końca życia prawie była piękną, uwielbianą, zawsze uśmiechniętą...

— Zapomniałaś o ostatnich miesiącach smutku, rozpaczy prawie.

— Rozpaczy? Nie wiem co by ją do tego miało doprowadzić?

— Helenko—rzekła Bronka łagodnie, ujmując ją za ręce—ty nie myślisz tego, co mówisz, ty nie jesteś zła, nie zechcesz by ludzie cię szarpali, wskazywali palcami wady twoje...

— Dość tego!—zawałała piękna Helena.—Nigdy,

od nikogo nie znosiłam kazań choćby najmoralniejszych, nie zniosę ich nawet od siostry.

— Przebacz, ja cię kocham i boleję nad tobą. Ty mogłaś być szczęśliwą, kochaną, szanowaną...

— Dość tego, powtarzam. Ktoś cię w błąd wprowadził, przedstawiając mnie jako kobietę zgubioną, nieszczęśliwą i przyszłaś, samarytanko, by mnie pocieszyć, ratować. Może to dzieło twego sąsiada, pana Augusta, który za dumny jest, by stanąć przedemną i powiedzieć kazanie, on, który tak szumnie wypowiedział mi swą litość!

— Zaręczam, że on nic nie wie o tem, żem tu przyszła, lecz że się nad tobą lituje, możesz być pewną...

— Zarozumialec, głupi! — zawołała oburzona Helena.

Nienawidziła go ciągle. Myśl o nim jednym drażniła ją, oburzała. Zdawało jej się, że on powagą swoją, spokojem, pracą, poważaniem zdobywanem w świecie mści się na niej. Jego, jego jednego, który ją tak kochał, który wskazał jej pierwszy jak kochać można, nienawidziła z całej duszy. Widziała go często w myśli, słyszała o nim i wtedy kipiała chęcią zemsty. Gdyby go mogła usunąć ze świata! Ale była w obec niego bezsilną. Stał tak wysoko i zdał się o niej nie wiedzieć. Nie ożenił się dotąd i przeczuwała że nie uczyni tego nigdy.

Fakt ten cieszył ją naprzemiany i drażnił. Widziała w tem moc swoją; złamała go na zawsze. To znowu wolałaby, aby się w kim pokochał, lub bodaj ożenił, wtedy nie stawałby przed nią jak nie-

ustanny wyrzut, jak groźba jakaś, którą czuła, choć nie pojmowała. Rozumowała, że życie jej nie jest złem, że takiem być powinno, lecz w chwilach rzadkich instynktownie lękała się czegoś. Działo się to wtedy, gdy słyszała co o Auguście.

To też i teraz pełna gniewu wstała, chcąc dać siostrze do zrozumienia, że dość ma jej obecności.

Bronka pojęła ją i żegnała z złamanem sercem, ledwo mogąc się wstrzymać od łez.

— Nie będę ci nigdy zakłócała spokoju i szczęścia, lecz gdybyś kiedy potrzebowała siostrzanego serca, znajdziesz je u mnie zawsze. Może nie pojmuję cię w weselu, ale w smutku pojmę niezawodnie. Może mnie nigdy nie będziesz potrzebowała, lecz gdyby... zawsze będę jednaką dla ciebie... siostrą...

IX.

Lata szybko upływały wśród rozkosznego życia. Panowanie Heleny liczyło hołdów tysiące—nie brak też było i ofiar. Czasem jaki motyl zbliżywszy się do tej świetnej, czarującej i pociągającej lampy, padł z opalonemi skrzydłami, nie zdolny do życia dalszego, ale nie zabity jeszcze, konał powoli w agonii.

Koło wielbicieli pięknej Heleny zmniejszyło się nieco. Był to fakt bardzo naturalny. Wielu z członków „czarnego klubu” posiwiało na dobre, byli i tacy, których odepchnęła, gdy ją zaczęli krępować chwilowo zdobytemi prawami. Miewała kaprysy, zachcianki, lecz ani odrobiny stałości. Ztąd nikt nie mógł sobie powiedzieć: byłem wczoraj jej ulubieńcem, jestem nim dzisiaj i jutro nie może być inaczej. Piękna Helena lubiła swym wybrańcom robić niespodzianki i strącała ich często z nieba zachwytów.

Niektórzy nie mieli już sił do dźwignięcia się napowrót, inni, oprzytomniawszy, szli dalej przez życie, lecz już nie obok dawnego bóstwa. Wystarczało im chwilowe posiadanie względów, o które tylu się dobijało. Takie postępowanie Heleny zjednało jej w opinii kobiet miano Mesaliny, zasłużenie.

Byli wszakże i tacy, którzy sami wystąpili z czarnego klubu. Obawa o jutro, czy obudzony głos uczciwości były tego powodem. Lecz niestety takich śmiałków było nie wielu.

A jednak tacy tylko zasępiali zawsze pogodne czoło Heleny. Gniewało ją takie odstępstwo. Lecz umiała zdobyć się na tyle dumy, iż wykreślała z pamięci odstępców. Za to w takim wypadku padał niezawodnie ofiarą który z wiernych i zaszczyconych łaską, a przez pewnego złośliwego dowcipnisia nazwanych „dyżurnymi.” Ofiara nie wzbudzała współczucia, przeciwnie radość, bo wakans się otwierał.

Salon pani hrabiny przestał już dawno nosić cechę arystokratyczną. Towarzystwo było najdziwaczniej pomieszane.

Jeden z dymisyonowanych wielbicieli Heleny mawiał nie bez racyi:

— Ażeby mieć wstęp do jej salonu, potrzeba jednego warunku dopełnić — być mężczyzną. Przez lat dwadzieścia wszakże tak już piękna Helena spustoszyła nasze „towarzystwo,” że nieuniknionem stało się zapożyczenie...

— W towarzystwie zaliczkowem—wtrącił ktoś.

Pochwycono ten dowcip i zrobiono z niego rodzaj „technicznego wyrażenia” na intruzów, nie należących do prawdziwie salonowej sfery, nie będących członkami klubu, „końskiego.”

Nie lubiono tych z towarzystwa „zaliczkowego” pomimo, iż pani Helena miała już lat czterdzieści. Nie wyglądała na tyle i porzucono jeszcze dla niej młodsze, świeższe... zamożniejsze. Panie przyznawały, że z powodu „grasowania” helenomanii, trzeba było odbywać swaty i zaręczyny pokryjomu, a natychmiast po ślubie wyprawiać młodą parę na wieś, gdzieś w strony odludne. Nawet za granicę wyjeżdżać było niebezpiecznie. Zdarzyło się bowiem raz, iż jeden z młodych małżonków wyjechawszy na miodowe miesiące do Florencyi, spotkał tam Helenę i w tydzień potem zostawiwszy żonę, pomknął do Paryża—naturalnie nie sam.

Najświeższą „zaliczką” w salonie Heleny, był człowiek młody, piękny, wykształcony, przyjemny, mający dla otoczenia tę tylko wadę, iż—był ubogim i na swe utrzymanie musiał zarabiać. Ocierający się o niego milionerzy i krociowi uśmiechali się nieznacznie, lecz to go bynajmniej nie wzruszało, ani w swobodzie nie krępowało, bo miał dar nieoglądania się na nikogo i nie czuł, aby progi, które przestąpił były dlań za wysokie.

Pani hrabina przyjmowała Zenona Wolskiego z równą jak innych uprzejmością.

Poznała go w Wiedniu jako prawnika. Przychodził do niej w interesie. Zaproszenie na herbatę przyjął bez wahania. Nie nabawiło go to kło·

potu wcale. Potem porzucił praktykę adwokacką i pojechał do kraju.

Helena była wówczas w kąpielach. Po powrocie spotkała Zenona i prosiła by ją odwiedził.

Odtąd bywał u niej często.

Miał dużo czasu wolnego. Pracował zimą i latem od siódmej z rana do pierwszej, potem byłby pióra do rąk nie wziął.

Chociaż dość jeszcze młody, był potrochu dziwakiem. Wesoły, lubiący zabawę, miewał czasem upory i kaprysy. Bez ceremonii naprzykład przypatrywał się ludziom, jakby modelom gipsowym. Rozmawiając z kimś, nieraz usuwał się na bok, aby przypatrzeć się profilowi. Wtedy zapominał o czem mówiono i popełniał zabawne omyłki.

Z Heleną nie inaczej postępował. Czasem ją tem drażnił, nazywała wzrok jego nieznośnie starym; potem śmiała się serdecznie.

— Każdy ma swą specyalność — powiedział jej—i każdemu powinno się zostawić swobodę. Pani hrabina ludzi bałamuci, ja ich studyuję. Ponieważ ja pani w jej zajęciu nie przeszkadzam, więc...

— I ja nie inaczej postąpię — dodała z uśmiechem czarującym.

Nie mogła się na niego gniewać — zrażać nie chciała. Był tak piękny, tak cudne czarne miał oczy, tak ponętny uśmiech, wzrost, ruchy, głos... Tak zajmująco umiał mówić. Znał pół Europy. Wciągu studyów przenosił się z miejsca na miejsce. Tłumaczył romanse, dawał lekcye, aby tylko módz jeździć. Zdolności miał wszechstronne, więc o zaro-

bek nigdy się nie troszczył; dawano mu go chętnie, gdziekolwiek zakołatał. Obecnie miał zapewniony byt dostatny, choć nie zbytkowny, ale to co miał wystarczało mu zupełnie. Sześć godzin dziennie pracował. Więcej nie chciał, nie mógł się przykuwać do stolika. Nie zostałoby mu nic czasu na studyowanie ludzi—a to uważał za swe główne zajęcie.

Mówił o tem bez samochwalstwa — naturalnie tylko w małych kółkach, które piękna gospodyni gromadziła czasem, jakby chcąc wypocząć po hałaśliwych, licznych zebraniach.

Zdarzało się, że Zenon pomimo zaproszenia nie przyszedł. Na czynione zapytania, w których trochę wymówki się mieściło, odpowiadał:

— Pracowałem. Wie pani, studyuję ludzi, a tu...

— Mało ich pan widzi? To złośliwe.

— Owszem, jest ich dość, lecz studyując ich tylko u pani, mógłbym się stać jednostronnym, zapomniałbym jak wyglądają kobiety.

— Czy do nich mnie pan nie zalicza?

— Niezawodnie, ale jeden egzemplarz to za mało.

— Wszakże panowie utrzymujecie, iż kobiety wszystkie do siebie podobne...

— To fałsz, najokropniejszy fałsz — zawołał, dodając po chwili—i źle by było, gdybyśmy z jednego osobnika sądzili o ogóle.

— Czy ogół zostałby przez to pokrzywdzony?— zapytała Helena, podejrzewając w wykrzykniku Zenona ukrytą myśl.

— To zależy od wybranego osobnika.

Każdy z jej wielbicieli byłby na to pytanie dał inną odpowiedź, grzeczniejszą, wprost do niej skierowaną... On... kto wie jak sądził piękną Helenę? Nie miała dotąd powodu do przypuszczenia, aby znajdował ją doskonałą.

To ją gniewało, lecz nie na długo. Innego za te wszystkie wady nie rycerskie i nie salonowe byłaby dawno odepchnęła — jego nie mogła. Czuła do niego jakiś pociąg. Potrzebny jej był. Tamci wszyscy już ją tak znudzili.

Małe zebrania stawały się coraz częstsze, a Zenon był na nie zawsze zapraszany usilnie.

— Może obok innych studyów to, które pan tu możesz zrobić nie będzie bez wszelkiej wartości,— mówiła z tym ponętnym uśmiechem, który tylu zwabił, oczarował, zwiódł.

— Nie wątpię o tem—odpowiadał prosto.

Zdarzało się, że zaproszeni na herbatę nie przychodzili. Wówczas piękna Helena przepędzała wieczór tylko z Zenonem. Ubolewała nad niegrzecznością zaproszonych, nie przypuszczając nawet, że przez wypadek jakiś mogli zaproszenia nie dostać...

— Będziesz się pan nudził sam na sam ze mną...

— Nie pani, nigdy i nigdzie nie nudzę się.

Każdem słowem ranił jej dumę. Z przyzwyczajenia czy z rozmysłu — nie wiedziała. Nikt jej nigdy na równi z innymi nie stawiał. Przywykła do tego, by w oczy bodaj być wyżej cenioną nad wszelkie kobiety.

A jednak ten człowiek, który nie chciał i nie umiał się zdobyć na tyle grzeczności, by powiedzieć: z panią przecież nudzić się nie można—był jej milszym od całego tłumu dawnych i nowych wielbicieli.

Pomimo jego prawdomówności i dziwactw, zapraszała go i coraz częściej miała sposobność żalenia się na niegrzeczność gości zaproszonych na herbatkę „familijną.” Zaproszeni nie przychodzili, pomimo, że podczas wielkich wieczorów nie można się było przecisnąć przez salon pani Heleny.

O herbatkach „familijnych” zaczęto w mieście głośno mówić, że były tylko dla Zenona przeznaczone. Nie słyszał tego, a gdyby i słyszał, nie zmieniłoby to jego postępowania. Był samowolny i nie zwykł się na nikogo oglądać.

Kto by uważnie przypatrywał się Helenie, byłby spostrzegł znaczną w niej zmianę.

Dawniej samotności nienawidziła, szukała rozrywek hałaśliwych i wiele do mówienia dawała moralistom. Teraz zebrania „czarnego klubu” stały się rzadszemi, o nowych „ofiarach” nic nie wiedziano—to znaczy nie było ich wcale. Często widywano Helenę odbywającą samotnie przejażdżki za miasto. W teatrze zjawiała się na chwilę, lecz jakby ją męczyły nieustanne wizyty, odjeżdżała wnet do domu, gdzie, jak sama mówiła, samotnie spędzała wieczór. Takie osamotnienie trwało nieraz kilka dni z rzędu. Nawet Zenona nie przyjmowała.

Sama dobrze widziała zmianę w sobie.

Zawsze w towarzystwie niestrudzona, czuła teraz zmęczenie, potrzebę wypoczynku. Nie było to jednak wynikiem braku sił. Dusza w niej nigdy nie pracowała; żyła tylko krwią i nerwami, które teraz właśnie częściej niż kiedykolwiek upominały się o swoje prawa. Bywały dnie, że nie mogła zapanować nad burzą, która w niej szalała. Wtedy zamykała się w domu i cały dzień bezczynnie leżała, usiłując tym sposobem odzyskać równowagę, spokój. Gdy burza przechodziła, jechała na spacer, nie raz późno bardzo i wracała po północy. Czyste, chłodne powietrze nocne orzeźwiało ją.

Bezładność jakaś panowała w jej głowie. Nie wiedziała sama czego chce i jak nieznanemu brakowi zapobiedz. Uciekła się znowu do dawnych rozrywek. Sprosiła wszystkich znajomych i wyprawiła im bankiet wspaniały. Nie wszyscy wezwani stawili się, z powodu wielkiego rautu u księżnej X.

W obec czterdziestki pięknej Heleny, obudziły się w wielu jej znajomych i wielbicielach poczucia „obowiązków" towarzyskich. Niektórzy panowie zjawili się później, wracając z rautu. To ją rozgniewało, postanowiła się zemścić.

Zenon także nie przyszedł.

— Czy jest u księżnej? — zapytała Helena jednego z świeżo przybyłych.

— Nie, byłbym go widział.

Czuła, jak burza się w niej zrywa. Przez chwilę miała ochotę powyrzucać wszystkich swych gości i raz na zawsze dom im wymówić. Gdyby nie oni i ich wzrok ku niej ciągle skierowany, byłaby

się rozpłakała. Ale nie mogła się przyznać do takiej słabości. Więc rzuciła się w wir zabawy, śmiała się jak szalona, droczyła z zakochanymi, wabiła chłodniejszych, aby przygłuszyć burzę, wrzącą ciągle.

Nad ranem, zmęczona, podniecona nad miarę użytem winem, padła na łóżko i dopiero gdy służąca trzeci raz zajrzała do sypialni, obudziła się. Była nadzwyczaj osłabiona, znękana, myśleć nawet nie mogła. Nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co się z nią wczoraj działo. Czuła wszakże wyraźny niesmak. Ze wstrętem spojrzała na suknię, którą wczaraj miała na sobie, porzuconą niedbale. Przypomniała sobie niektóre epizody tej hałaśliwej zabawy. Miała u stanika róże, które ktoś nieostrożny zgniótł. Chciała się przekonać, czy tak było istotnie.

Tak, kwiaty zgniecione, z na pół poopadałymi liśćmi, splamiły jasną materyę.

Darowała suknię pokojówce. Nie mogłaby na nią patrzeć...

Nigdy nic podobnego nie doświadczała. Wiedziała, że nazywają ją Mesaliną; śmiała się z tej opinii—dziś dopiero jakaś groza ją przeniknęła na myśl o tem.

Po śniadaniu położyła się w swym buduarze—myślała. Potrzebowała jakiejś zmiany w życiu, lecz nie wiedziała jakiej i jak ją sobie stworzyć. Nie miała przyjaciół, którychby mogła poprosić o radę. Była osamotnioną na świecie.

Miała wprawdzie siostrę, lecz nie widywała się wcale. Helena jej nie lubiła nigdy. Bronka

wydawała jej się śmieszną, z tą powagą uczciwości której nie znała wcale. Mąż Bronki nie okazywał najmniejszej ochoty do bliższych z Heleną stosunków.

Ze wszystkich znajomych pozostawał jeden tylko człowiek, który może mógłby dać dobrą radę... Zenon.

Zerwała się z szezlongu i szybko napisała parę słów, zapraszających na obiad. Służącemu nakazała koniecznie list doręczyć podług adresu przed szóstą.

Uspokoiła się.

Gdy się pora obiadowa zbliżyła, Helena ubierając się w poważną, ciemną suknię, myślała, czy też Zenon przyjdzie. Powinien przeczuć, że jest jej potrzebnym. Przed szóstą liczyła każdą sekundę z wzrastającą niecierpliwością.

Przyszedł punkt o szóstej. Trzymanie się ściśle wskazanej w zaproszenich godziny było mu właściwem.

— Dla czegóż tak późno! — zawołała z wdzięcznym uśmiechem Helena, wstając na powitanie gościa.

— Jeśli pani życzyła sobie widzieć mnie wcześniej, trzeba było napisać o której mam przyjść. W zaproszeniu jest wyraźnie szósta—rzekł spokojnie wyjmując z kieszeni bilecik Heleny.

— Ach, co za pedant! Zdaje mi się, panie Zenonie, że masz co najmniej sześćdziesiąt lat.

— To mnie niewymownie cieszy. Staram się usilnie być jak najstarszym, pracuję nad tem...

— Studyujesz pan ludzi — wtrąciła z przekąsem.

— Tak jest...

Dano do stołu.

Po obiedzie pogadanka ożywiła się.

Podano kawę w maleńkim, zacisznym saloniku, do którego rzadko wpuszczano gości. Zenon nie wiedział, jak ważny dla niego zrobiono wyjątek. Uprzejma gospodyni pozwoliła mu palić, pomimo, iż czuła lekki ból głowy.

— Mam do pana pretensyę, panie Zenonie!

— Nie poczuwam się do winy. Wolno wiedzieć o co?

— Nie byłeś pan wczoraj łaskaw na mnie.

— Pozwoli pani być szczerym? Inaczej nie mógłbym odpowiedzieć wcale.

— Ależ owszem, proszę o to.

— Te wieczory, ni to rauty, ni to bale... są strasznie nudne.

— Czy to kompliment dla gospodyni?

— O tyle, o ile ona wieczory urządza...

— Dziękuję.

— Pozwoliła mi pani być szczerym, jestem nim. Pani znajduje w takich zabawach przyjemność, więc je pani urządza. Mnie się nie podobają—więc przestałem bywać.

— Jesteś pan pewny, że znajduję przyjemność w tych zabawach?

— Gdybym tego przekonania nie miał, musiałbym zapytać, co panią skłania do robienia sobie nieprzyjemności?

— Rozumujesz pan logicznie... a jednak...

— Tak, prawda, zapomniałem o starej maksymie, „kobieta jest zagadką.”

— Czy sądzisz pan inaczej? — Spojrzała mu w oczy z ciekawością i widocznem pragnieniem usłyszenia zdania jego o kobietach w chwili, kiedy dyskusya jej prawie wyłącznie dotyczyła.

— Przed kilku laty, gdy jeszcze dość byłem młody, zdawało mi się, iż mam pewne pojęcie o kobietach. Wtedy nie były dla mnie zagadką—naturalnie w mojem rozumieniu. Teraz wyznaję, nie znam się na tem!

— Na czem?

— Wszak o kobietach mówimy—odparł zdziwiony jej pytaniem.

— Ach, tak, przypuszczałam, że zmieniwszy rodzaj żeński na nijaki, zmieniłeś pan i przedmiot rozmowy—rzekła z odcieniem złośliwości.

Zaśmiał się.

— Przepraszam za tę drobną zmianę. Wszystko, czego nie znam jest dla mnie nijakie...

— Prawie wolno przypuszczać, żeś pan nieprzyjacielem kobiet.

— Nie powiedziałem tego i protestuję stanowczo—rzekł poważnie. — Jakżesz mógłbym być nieprzyjacielem tych, które stanowią połowę rodu ludzkiego, a może więcej nawet aniżeli połowę. Zbyt silnie oddziaływają kobiety na życie nasze, abym nie miał tego nie widzieć, nie uznać ich potęgi. Do tej pory nie powiedziałem i zdaje się nie powiem tego nigdy, aby ta potęga była złą. Bywają takie

jednostki, ale to nie racya, by potępiać ogół. Być nieprzyjacielem nie potępionych nie potrafię. Chlubię się tem, że świat i ludzi kocham. To mnie chroni od mizantropii i nieprzyjaźni dla którejkolwiek bądź warstwy ludzi.

Podobał jej się zapał, z którym to mówił. Był w tej chwili tak pięknym, jakim go nigdy jeszcze nie widziała. Przebiegła myślą znanych sobie ludzi i przyznała, że równie pięknego nie znała. Jakiś cień nie wyraźny przesuwał się w jej pamięci, ale postać którą miała przed oczyma, zakryła go zupełnie.

Po małej pauzie zapytała.

— Czy co do jednostek, podzielasz pan opinię ludzi o tej lub owej kobiecie. Przyłączasz się pan do uniesień ich, lub potępień?

Przeczuł jej intencyę, lecz odrzekł spokojnie.

— Nie sądzę na przekór innym, lecz bez osobistego przeświadczenia się, nie mam zwyczaju posługiwać się opinią cudzą.

W patrywała się weń uważnie, nie mogąc odgadnąć myśli ukrytych niezawodnie po za ogólnikowemi słowami.

Chciała wybadać go bliżej.

— Pozwolisz pan być trochę niedyskretną?

— Owszem.

— Czy się pan kiedy kochałeś?

Flegmatycznie zapalał papierosa.

— Nawet parę razy...

— Aa...

— Najpierw w kuzynce, będąc jeszcze w gi-

mnazyum, potem w baletniczce, z którą nigdy dwóch słów nie zamieniłem, potem w prześlicznej bawarce w Wiedniu. Dla widzenia jej piłem po ośm kufli piwa dziennie... Potem.

— Dość już dość, panie Zenonie—zawołała Helena, tłumiąc gniew śmiechem głośnym.

Po kilku godzinach wyszedł, a ona nie zasięgnęła jego rady, chociaż dla tego właśnie go zaprosiła. Czuła się wszakże rzeźwiejszą. Zmęczenie ustąpiło.

Odtąd częściej niż dawniej zapraszała Zenona, gdy nie przyjmowała nikogo. Zebrań większych zaniechała zupełnie. Pochwaliła się tem przed nim, lecz nic nie odpowiedział. Spodziewała się bodaj słowa zadowolenia, pochwały. Nic. Przychodził wezwany, lub nie wzywany nawet, rozmawiał z ożywieniem, ale nie zbliżał się do pięknej pani ani na krok. Był z nią na takiej stopie, jak w początkach poznania się. Nie spostrzegał, lub udawał tylko, że nie widzi wyraźnych objawów szczególnej życzliwości. Nie korzystał z niej wcale.

Pomimo, że już wiosna przechodziła i lato zaczynało się na dobre, Helena dotąd nie miała planu na podróż. W mieście dziwiono się temu, zapytywano ją nawet—zbywała pytających półsłówkami, lecz nie ruszała się.

Pewnego dnia najniespodzianiej zjawił się Zenon z pożegnaniem.

Wyjeżdżał na wypoczynek w góry. Wybrał sobie dzikie ustronie na węgierskiej połaci Karpat, gdzie ledwo kilkanaście rodzin mogło się pomieścić

w domkach porozrzucanych w dolince pomiędzy niebotycznemi górami.

Namawiała go, by jechał za granicę, do wód; taki wypoczynek przyniósłby korzyść zdrowiu po całorocznej pracy. Nie zmienił postanowienia pomimo życzliwych, przyjacielskich perswazyi. Potrzebował spokoju, ciszy, gór, nieba, szalonych potoków i powietrza czystego.

— Badając ludzi, zapomniałem już jak wygląda ziemia, trawa, góry, lasy...—mówił z uśmiechem.— Zamiast ludzi, salonów, złota, klejnotów, chcę kawał nieba lazurowego, szare skały, majestat natury, w obec którego zmaleję bardzo, ale odżyję po miejskiej wielkości ..

— Jesteś pan poetą...—mówiło, patrząc na nową w nim zmianę.

— Każdy nim być powinien i nie zazdroszczę temu, w którego duszy ani na chwilę nie zagra poezya.

Pojechał.

X.

Po wyjeździe Zenona została Helena w dziwnem usposobieniu. Rozstrojona, znowu bez celu, bez postanowienia co robić dalej. Czuła się bardzo osamotnioną, a pomimo tego rzadko kogo przyjmowała. Ruch miasta męczył ją i nie wiedziała dokąd się udać.

Miała żal głęboki do Zenona, że nie pojechał do zagranicznych wód. Mogli się byli przypadkiem spotkać. Czyż nie rozumiał, że ona tego pragnęła? Miałaż mu powiedzieć wyraźnie, ona za którą mężczyźni gotowi byli zawsze popędzić choćby na koniec świata.. Nawet jej nie zapytał dokąd pojedzie i kiedy do kraju wróci. Czyż go to tak mało obchodziło?

Szukała przyczyny takiego postępowania Zenona, lecz znaleść jej nie mogła. Nieraz idąc do snu stawała przed wielkiem zwierciadłem, przypuszczając, iż ono zagadkę wyjaśni. Ale zwierciadło mówiło stanowczo: nie jesteś dzieckiem o nie-

winnej twarzyczce, aleś piękna, bardzo piękna. W rysach jej spoczywała potęga; kształty w pełnym rozwoju mogły jeszcze do szaleństwa doprowadzić każdego mężczyznę. Widziała to wyraźnie.

A może to człowiek zimny, bez krwi, nie odczuwający powabów, nie ulegający ich sile! Nie. Widziała go nie raz w podniesionym nastroju. Gdy mówili o dziełach sztuki, unosił się nad mistrzami, którzy umieli podpatrzeć kobietę i stwarzali typy najdoskonalszej piękności fizycznej. Głos jego drżał nieraz zapałem, na licach pojawiał się odblask ognia wewnętrznego. Więc jakże sobie wytłumaczyć ten spokój, obojętność w obec niej, pomimo, iż długie godziny spędzali nie raz sam na sam?

Męczyła się nad rozwikłaniem tej zagadki— bezskutecznie. Nie czuła pociągu do żadnej rozrywki, czy też nie mogła, a czas wlókł się powoli, niezmiernie powoli.

Pewnego dnia pojechała do ogrodu miejskiego, w którym już dawno nie była. Spotkała jednego z znajomych, spieszącego w stronę miasta.

— Dokąd tak pilno?—zapytała uprzejmie.

— Na posiedzenie sejmu, bardzo ważne sprawy idą dziś pod obradę.

— Ach, zapomniałam nawet, że sejm otwarty...

— Jakto, nie była hrabina dotąd?

— Nie.

— Czyż to się godzi?—mówił z wymówką.

— Nie mógłbyś się pan postarać o lożę?

— Doskonale, mam bilet przy sobie, służę pani.

— Dziękuję; powóz mój czeka przed ogrodem, zawiozę pana.

Przyjął propozycyę i wkrótce stanęli na miejscu. Wprowadził ją do loży i pożegnał.

Helena przypatrywała się ciekawie zgromadzonym już posłom. Mówiono o rzeczach, które w niej nie budziły interesu. Podatki, sól, wódka, zboże, bydło, nafta... wszystko to były rzeczy, których znaczenia nie pojmowała. Jednak widok żywego zainteresowania się wśród posłów, a nawet i publiczności bawił ją.

Poznawała znajomych i dziwiła się ich minom poważnym. Niektórzy posłowie bywali u niej. Ale jakże się zmienili! Niektórzy podchodzili pod mównicę, aby lepiej słyszeć mówiącego właśnie, inni rozmawiali cicho z siedzącymi obok, lub pochyleni nad stosem papierów, notat, sprawozdań drukowanych, zapisywali cyfry przez mówcę podawane, lub sprawdzali je w własnych notatkach.

Po skończonej mowie szmer powstał w sali, wszyscy podnosili głowy, skupiali się w grupy, naradzali; potem wzrok wszystkich skierował się w stronę, w której siedziała Helena. Wychyliła się z loży, aby zobaczyć przedmiot ogólnej uwagi.

Mężczyzna słuszny, pochylony nad papierami, które zbierał ze stołu, przeglądał i układał—rozmawiał z otaczającymi go posłami. Nie mogła dostrzedz jego rysów, widziała tylko postać smukłą, piękną, a wśród czarnych włosów lekkie ślady siwizny. Otaczający patrzali na niego z życzliwością i szacunkiem.

Z dalszych grup podniósł się głos:

— Prosimy, prosimy.

Z stosem papierów w rękach szedł pochylony nieco przez salę ku mównicy. Helena jeszcze twarzy dojrzeć nie mogła, lecz była bardzo zaciekawiona. Wzrok wszystkich towarzyszył idącemu; wielu uśmiechało się doń przyjaźnie. W tem...

Helena krzyknęła.

Na mównicy stanął August. Ukłonił się posłom, wyprostował i głowę podniósł śmiało.

Musiała twarz pochylić, aby nie dostrzeżono rumieńca, który ją palił. Pierś wzburzona podnosiła się gwałtownie. Bała się wzroku widzów, więc usunęła się w głąb loży. W głowie jej szumiało, serce biło gwałtownie. Doznała wrażenia silnego i zapanować nad niem nie mogła.

Wśród uroczystej ciszy rozlegał się dźwięczny, silny głos Augusta. Przedmiot jej nie zajmował, lecz drżała, słysząc dźwięk głosu tak dobrze sobie niegdyś znanego. Stał się pełniejszym jeszcze, silniejszym. Czuła, że go z uwagą słuchać musiano. Pochyliła się nieco, aby go zobaczyć.

Postarzał się znacznie, ale był piękny. Powaga biła z twarzy, która pod wpływem mowy zarumieniła się. Wzrok miał spokojny; postać cała wyprostowana, wyrażała siłę. Siwiał już.

Burza oklasków zerwała się w sali. Posłowie ruszyli z miejsc swoich, spiesząc do mównicy, by podziękować Augustowi. Przez chwilę chaos panował w sali. Ze wszystkich stron wyciągano ręce do Augusta, który spokojnie, poważnie, ale z wdzięcznym uśmiechem dziękował za uznanie tak serdeczne.

Nagle Helena zerwała się. Teraz dopiero spostrzegła w loży po drugiej stronie Bronkę, która oczu nie spuszczała z Augusta. Była rozpromieniona. Mąż jej przyjaźne znaki dawał swemu przyjacielowi.

Helena wybiegła z loży.

Czuła żar pod stopami. Była oburzona na Augusta, Bronkę, tych wszystkich, którzy tak jawny hołd składali jemu, jemu, który był powodem wszystkich jej cierpień, jakie kiedykolwiek miała. Tak, on był winnym! To wszystko było ukartowane dla upokorzenia jej... niegodziwie!

Wpadła do domu wzburzona.

— Więc go nie zgniotłam?! Szczęśliwy... litował się nademną — teraz może nawet nie wie, że jeszcze istnieję na świecie, zapomniał o mnie... A ja? Co mnie życie dało? Byłam-że szczęśliwą kiedy?— nigdy, ani przez chwilę! To było upijanie się tylko, szał... Teraz on otoczony chwałą, zasługą, przyjaźnią, a ja samotna, opuszczona, cóż zdobyłam na świecie? Nie mam nikogo!...

Rozpłakała się.

— Nawet ten, którego nad wszystkich przeniosłam, dla którego wyrzekłam się hałasu zabaw... Zenon, on mnie opuścił, jakby nie widział, co się we mnie dzieje... On musi, musi być moim!—zawołała podnosząc się energicznie. — Nikogo nie chcę; jego, jego jednego tylko... Zmienię się, rzucę dawne życie, będę go kochała...

— Kochała!... odbiło się echem od ścian pokoju. To słowo, którego Helena tyle lat nie znała

przeraziło ją. Wszyscy jej to mówili, ona śmiała się tylko... Ale nikt nigdy nie wymówił tego słowa tak, jak je teraz wypowiedziała sama.

Czuła rozkosz niewysłowioną, nie znaną dotąd i zarazem lękała się czegoś. Powzięła szybko postanowienie. Jutro wyjedzie. Ani dnia dłużej tu nie zostanie... Umarłaby z bolu w samotności, a ludzi widzieć nie chciała.

Tymczasem Zenon pędził życie, o jakiem ledwo mógł marzyć w ciągu roku pracy. Całe dnie spędzał na wolnem powietrzu. O wschodzie słońca był już na górach, poił się widokami, oddychał całą piersią. Nie wziął z sobą ani jednej książki; przyroda wystarczała mu do skupienia myśli, do odżywienia się znowu na czas długi.

Zdawało się, że zapomniał o całym świecie. W najlepszym, niezmiennym humorze przyśpiewywał sobie, wędrując po górach, dawno zasłyszane piosenki. Dziwak, jak zawsze, zerwał wszelkie stosunki, któreby mu mogły przypomnieć miasto. Do nikogo nie pisywał, listów nadchodzących nie otwierał. Sądził, że dość będzie miał czasu na ich przeczytanie w wagonie, wracając do miasta.

Osób mieszkających w tym zakątku nie znał wcale i poznawać nie chciał. Byli to wyłącznie Węgrzy niezamożni.

Zdarzało się często, że wyszedłszy z domu o czwartej z rana, wracał dopiero późnym wieczorem i wprost udawał się na spoczynek. Pożywieniem jego podczas takich wycieczek był chleb owsiany, ser owczy i mleko, których dostawał

w pierwszym lepszym szałasie juhasów. To też byli jedyni niemal ludzie, z którymi rozmawiał.

Nie mało się więc zdziwił, zastawszy pewnego wieczora na stoliku list bez marki pocztowej. Zastanowił się nad tem chwilę, potem list do kuferka wrzucił i spokojnie zasnął. Nazajutrz o czwartej rano już go w domu nie było.

Przed południem przyszła dziewczyna góralska z listem, ale objaśniono ją, że pana nie ma i nie wiadomo kiedy wróci. Zostawiła list i poszła.

Dnia tego wracał Zenon o zachodzie słońca przez osadę, pogwizdując wesoło. Elastyczny krok i zręczność, z którą szedł szybko po drodze kamienistej, czyniły go podobnym do górala z miejska przebranego. Gdzie niegdzie potworzyły się małe sadzawki, od ulewnego deszczu, który spadł w nocy. W górach woda spływała szybko; tu między domami i płotami były liczne i głębokie wyboje. Musiał więc patrzeć pod nogi, aby nie wpaść w niepożądaną kąpiel. Niesłychanie go to bawiło. Nieraz musiał robić skoki bardzo ryzykowne; wtedy wybuchał śmiechem. Nie widział nawet, czy mu się kto z poblizkich domków nie przypatruje. Obojętnem mu to było.

Nagle, wśród sporej bajury na jednej stojąc nodze na kamieniu ruchomym, zatrzymał się. Czy mu się przysłyszało? Ktoś go zawołał po imieniu...

— Panie Zenonie!—powtórzył głos, który wydał mu się bardzo znajomym.

Spojrzał w stronę, zkąd go wołanie doleciało

i—nogą trzymaną dotąd w powietrzu... wpadł do wody.

— A, do licha!—zawołał, usiłując skoczyć dalej, na grunt suchy. Zajęcie to wróciło mu przytomność, którą na chwilę był stracił. Stanąwszy wreszcie na ziemi, uchylił kapelusza, nie starając się nawet ukryć chmury, która zbruździła mu pogodne dotąd czoło.

Stał naprzeciw Heleny.

— Przepraszam za wypadek, którego mimowolną jestem sprawczynią, lecz byłbyś mnie pan niezawodnie nie spostrzegł — mówiła podając mu rękę.

— Wypadek, drobnostka—odpowiedział strzepując wodę i błoto silnem uderzeniem nogi o słup, leżący przed domem. — Wśród takiego labiryntu wody i kamieni trzeba patrzeć przed siebie. Nie rozglądałem się; mogłem więc istotnie nie spostrzedz pani, tembardziej, że spotkania tego nie spodziewałem się, ani przypuszczać mogłem.

— To źle...

— Nie, to naturalne. Cóż bo pani tu robi?

Był formalnie zły. Jakaś chmurna myśl osiadła mu w głowie i drażniła niesłychanie.

— Grzecznie mnie pan witasz — rzekła z wymówką, a w głosie słychać było drzenie z odcieniem smutku.

— Czyż nie słuszne moje zdziwienie?

— Nie—szepnęła tak cicho, że dosłyszeć nie mógł.

Weszli do domu.

Była to chata góralska, wysoka, z małemi oknami, z drzewa, nie bielona nawet. Innych tu mieszkań goście letni nie mogli się spodziewać. Pani Helena wiedziała o tem, więc zaopatrzyła się w dywany i portyery, aby bodaj troszkę możliwem uczynić to schronisko.

— Nie mogę wyjść z zdziwienia — rzekł Zenon—co panią skłoniło do przyjazdu.

— Może urok tej ciszy, spokoju, majestatu groźnego dzikich gór...

— Ależ to szaleństwo; kilka dni pobytu zabije tu panią, znudzi śmiertelnie...

— Czy i pan tego doświadcza?

— Ja! To zupełnie co innego. Potrzebowałem tego ustronia. Nie umiem się nudzić.

— Gdyby mi takie niebezpieczeństwo groziło, wszak mogę liczyć na pana?...

Wyciągnęła ku niemu rękę z takim wdziękiem, uśmiechem łagodnym i spojrzeniem, które ją samą w podziw mogłyby wprowadzić.

Nie spostrzegł tego i począł chodzić po izbie. Pomimo dywanów, kroki jego odbijały się gwałtownie, wstrząsały domem.

Sprawiał jej przykrość niewymowną. Nie przyjął podanej ręki, bo nie chciał. *udał*, że nie widzi — myślała sobie i uczuła ból wielki.

— A może omyliłam się, licząc na towarzystwo pana?

— Nie. Jestem jedynym znajomym pani w tem zakątku; nie mogę pani przecież opuścić — mówił spokojnie już, lecz sucho,

— Dziękuję panu. Przypuszczałam już, że masz pan ochotę uciec przedemną...

— Ja, uciekać? Ależ to byłoby zabawnem!

— Pisałam dwa razy, prosiłam pana..

— Ach, to pani? Jeden list zastałem wczoraj w domu.

— Dziś posłałam drugi.

— Od rana nie byłem w domu. Zresztą listów nie czytam teraz wcale.

— Nawet odemnie?—zapytała żartobliwie, lecz zdziwiona istotnie.

— Od nikogo. Nawet nie przypatrywałem się kopercie.

Ranił ją każdem słowem, odpychał widocznie. Cierpiała pod wpływem tej myśli więcej, aniżeli kiedykolwiek w życiu.

— I nie sprawi panu przyjemności, mieć towarzyszkę w wędrówkach i marzeniach pomiędzy niebem a ziemią?—zapytała po chwili milczenia.

Zaśmiał się.

— Na towarzyszkę wędrówek moich nie nadaje się pani wcale. Do tego trzeba sił i wytrwałości, jakiemi mnie natura obdarzyła.

— Silną wolą mogę je zdobyć...

— Nie pani, to marzenia. Zresztą...

— Proszę, bądź pan szczerym.

— W wędrówkach moich potrzebna mi samotność.

— Mogę milczeć...

— Nie, to na nic się nie zdało. Sama myśl, że jest przy mnie ktoś, który nie czuje tego co ja...

— Jestżeś pan tak pewnym, że czuć nie potrafię?—zapytała z naciskiem.

— Tak. Myśl pani dotąd innymi biegła tory. Dzień, tydzień, rok nawet nie skieruje jej w inną stronę. Dla mnie ludzkość i ludzie są przedmiotem studyów—mówił zapalając się—lecz od czasu do czasu potrzebuję wypoczynku, samotności. Co dnia o wschodzie słońca idę na szczyt góry, z którego widzę kawał kraju mego i zapomniawszy o sobie, o znajomych, o wszystkich *jednostkach*, modlę się duchem do Stwórcy o szczęście dla tych ludzi *wszystkich*, których mgła poranna zakrywa. Słońce wznosi się, mgła ustępuje, ziemia u stóp moich stroi się w przedziwne barwy i wtedy jestem szczęśliwy nad wyraz. Z blaskami złotych promieni wstępuje we mnie nadzieja, którą ludzie tylekroć podkopują; siły się budzą, krew bije żywo, oko sięga daleko...

Z zamkniętemi oczyma marzył o wschodzącem słońcu i zapomniał, że nie jest sam. Helena poiła się jego widokiem, rękę przyciskała do bijącego serca, czuła, że mogłaby teraz paść do nóg tego człowieka.

Skrzyp drzwi przerwał dalszy tok słów.

Służąca zapytała, czy można podać samowar.

Zenon ręką machnął nieznacznie, Helena wydała cicho dyspozycyę, a on wracając do początku rozmowy, rzekł z chłodną uprzejmością.

— O ile pani będzie miała siły i ochotę do przechadzek, służę chętnie...

To „chętnie" było ofiarą z jego strony. Musiał

zmienić tryb życia. Czasem jak dawniej wychodził w góry i dopiero około południa wracał.

Tyle wolności zastrzegł sobie stanowczo. Zresztą, dama salonów nie wyrzekła się zwyczajów miejskich. Wstawała późno i nie raz w południe przyjmowała swego towarzysza w rannym negliżu.

Wyglądała niesłychanie ponętnie w szlafroczku, lecz na nim nie robiło to wrażenia. Czasem nie mógł pokryć pewnego zniecierpliwienia. Dziwił się, jak mogła wytrzymać w tej dziczy i mówił jej to.

— Odsądzasz mnie, panie Zenonie, od wszelkiego poczucia piękna, poezyi; a jednak wierzaj mi, ta „dzicz" ma dla mnie wiele uroku.

To znowu na nią przychodziła kolej niecierpliwienia się. Cała jej istota buntowała się, gdy Zenon tak jednostajnie był zimny, tak obojętny, ślepy na widok tego, co się w niej działo. Czyniła mu o byle co wymówki, gniewała się, aby za chwilę przepraszać. Wtedy on spoglądał na nią zdziwiony, nie rozumiejąc powodu przeprosin.

Dnie wlokły jej się leniwo. Rano budziła się wcześnie i czekała chwili, w której Zenon miał nadejść. Wybiegała z izby, sądząc, iż się spóźnił, robiła mu w myśli wyrzuty, drżała ujrzawszy go z daleka i nie zawsze miała dość sił na udanie spokoju.

Wieczory stanowczo musiał z nią przepędzać. Zatrzymywała go długo, tłumacząc, iż spać nie może, a rozmowa z nim jest jedyną jej przyjemnością.

Zenona męczyło niesłychanie towarzystwo Heleny. Postanawiał wyprawić ją koniecznie, ale gdy spojrzał na nią, gdy domyślał się ukrytego jej cierpienia, z litości odkładał burzę do jutra.

Sytuacya dla obojga nad wyraz była męcząca.

Helena cierpiała szalone, niezaznane dotąd męki. Czuła, że lada chwilę sił jej zbraknie.

Pewnego wieczora, gdy Zenon był u Heleny, gwałtowna burza się zerwała.

Pioruny uderzały prawie bez przerwy, wstrząsały domem całym, jakby go lada chwila miały obalić, strącić w przepaść, w której potok huczał coraz gwałtowniej.

Helena drzała ze strachu i gwałtownej walki, która w jej wnętrzu wrzała. Chwilami łzy miała w oczach, lecz je wnet żar wypalał. Zmusiła go, by usiadł obok na szezlągu, który z sobą aż tu przywiozła.

— Będę się czuła bezpieczniejszą—mówiła błagalnie.

Uśmiechnął się jakoś boleśnie i usiadł jaknajdalej.

— Nie opuścisz mnie pan...—szepnęła.

Udał, że nie słyszy. Nie lękał się piorunów, lecz tej burzy, którą miał obok siebie. Nie mógł przemówić słowa.

Piorun uderzył z taką siłą, jakby padł tuż obok domu.

Helena z krzykiem rzuciła się ku Zenonowi.

Ręce zarzuciła mu na szyję; drząc cała do niego się przytuliła.

— Nie opuścisz mnie, prawda? —pytała wzruszona—nie opuścisz, Zenonie... Jak ja cię kocham...

Czuł burzę namiętności, co nią miotała. Serce jej uderzało gwałtownie tuż przy jego piersi, oddech gorący twarz mu palił, ramiona oplatały go silnie, jakby już nigdy puścić nie chciały.

Łagodnie, lecz silnie odsunął ją od siebie i z uśmiechem, którym pokrywał własne wzburzenie, rzekł:

— Proszę się nie lękać, burza wkrótce ustanie... wtedy pani hrabina nie powtórzy żartu, który ze strachu się zrodził.

— Ależ ja nie żartuję, kocham cię—zawołała namiętnie, wyciągając ramiona ku niemu.

Powstał obrażony i wyprostował się dumnie.

— Pani hrabino, nie zasłużyłem na żarty i nie lubię ich!

Chciała się dźwignąć, lecz padła u stóp jego, rękami je oplotła i zaczęła łkać gwałtownie.

— Więc nie chcesz mnie zrozumieć, nie widzisz co się ze mną od tak dawna dzieje?... Kocham, kocham cię nad życie, szaleję i cierpię, czekając twojego skinienia, aby się stać twoją na zawsze... Będę niewolnicą twoją, sługą, ale mnie nie odpychaj.

— Wstań pani...

Podał jej rękę, której się uchwyciła, pocią-

gając go ku sobie. Traciła zmysły; nie wiedziała co robi, co mówi.

Szarpnął się gwałtownie i odstąpił parę kroków.

— Czegoż pani chcesz odemnie? Czego mnie oplatasz siecią pokus, które mnie męczą. Chceszże pani, bym z tobą poigrał chwilę w szale, a potem rzucił bez żalu, bez skrupułu, ani kiedy wspominając, żeśmy się znali? Miałażbyś pani żądać więcej?

— Chcę twoją być dziś, jutro, zawsze, życie całe—zawołała namiętnie, a potem poskramiając tę burzę, która nią miotała, mówiła łagodnie, cicho, jakby skarząc się.

— Zobaczysz, ja nie jestem złą. Kocham cię nad życie, oddam ci wszystko, pójdę gdzie zechcesz, oddam ci się w niewolę, nie będę miała pragnień innych prócz twoich, byleś mnie tylko kochał, kochać się pozwolił. Nie gardź temi resztkami świetnej kobiety, tobie dostanie się kobieta nowa, młoda uczuciem, któregom dotąd nie znała. Pierwszy raz kocham, lecz tak cię nikt kochać nie będzie... Nie odpychaj mnie dzisiaj, jutro przekonasz się, że byłeś dotąd w błędzie, żeś sam siebie nie zbadał... że będziesz ze mną szczęśliwy.

— Nie.

— Zresztą, daj mi tylko chwilę szczęścia—wołała podniecona wracającą burzą namiętności—jam go nigdy w życiu nie miała. Bez ciebie żyć nie potrafię. Jednej chwili tylko błagam, potem możesz mnie zdeptać, pogardzić...

Krew w nim grała gwałtownie, lecz szał tej kobiety zrażał go, oziębiał.

Postąpił do okna, odchylił zasłony i rzekł obojętnie.

— Pani hrabino, burza ustała. Pozwoli mi pani teraz oddalić się?

Odpowiedziała mu płaczem głośnym.

Padła na szezlong, zakrywając twarz dłońmi.

Patrzał na postać jej niedbale rzuconą ze smutkiem.

— Jaka szkoda tej tak pięknej kobiety pomyślał. Nie dziwię się, że słabi ludzie mogą się dać porwać namiętności, nie pytając o uczucie. Trzeba hartu wielkiego, by oprzeć się pokusie. Ale żeby kobieta taka kochać nie umiała, choć mogłaby być ubóstwianą prawie... To smutne. Brak wykształconego uczucia, zrozumianych godnie ideałów, może dłoni, którąby nią kierowała, póki była pora, oto co ją pchnęło na drogę życia smutnie nędzną.—Za późno zbudziło się serce.. a jednak wierzę, że była ze mną szczerą... Szkoda, szkoda jej... Bodajby tylko teraz opamiętała się. Moje studyum skończone... żal mi, że tak smutno. Miałżebym zwątpić w kobiety? Nie, nie, chociaż i tamta, którą kochałem...

Z pochyloną głową opuścił dom Heleny i po bezsennej, smutnej nocy poszedł na góry... modlić się o szczęście dla ludzi...

Brakło mu sił, któremi chlubił się zawsze i cieszył. Zabrała je litość dla tej kobiety, której nie kochał, bo podług swych pojęć nie mógł, ale ubo-

lewał nad nią szczerze. Pojmował jej cierpienie, bo sam kiedyś kochał i został odepchniętym, pomimo młodości i piękna.

Od czasu jak często obcował z Heleną, wiedział, że do wymiany myśli przyjść musi. Usuwał się ile możności, nie dawał powodu do jakiejkolwiek nadziei na wzajemność, lecz nie chciał zerwać zupełnie. Helena miała dla niego urok niezmiernie ciekawego studyum. Nie mógł jej odgadnąć; przeczuwał, że na drogę życia, jakie wiodła, coś ją popchnąć musiało. Nie znał warunków, wśród których się wychowywała, nie znał nawet życia jej z przed laty dziesięciu, przeczuwał tylko, że to muszą być ciekawe dane do historyi jej postępowania, czucia i myślenia. Nie przypuszczał także, by życie jej mogło jednostajnie biedz aż do końca. Treścią jego teraz i w przeszłości była piękność. Gdy ta zniknie, co wtedy? To pytanie zapalało go do pilnego badania. Widział robione jemu awanse, lecz nie przeczuwał tragedyi — byłby się dawno usunął zupełnie.

Dziś fakt spełniony boleść mu sprawiał. Nie miał powodu powątpiewać w szczerość jej wyznania. Widział że cierpiała wiele. Nie umiał ukrywać swych myśli i uczuć, więc szorstko jej odpowiedział na szalone wyznanie — lecz nie bez przykrości to uczynił. Bał się powtórzenia podobnej sceny, obecnością swą mógł ją wywołać. Mógłże zostawić Helenę osamotnioną?

Musiał.

Parę godzin przebytych wśród szczytów gór, chłodnego rannego powietrza, wśród myśli o tej ziemi, która przed oczyma jego z mgieł się wyłaniała, ta modlitwa ranna bez słów — pokrzepiły go.

Wcześnie wrócił do domu i przed południem jeszcze wyjechał.

XI.

Dumna z tryumfów, zaufana w swą piękność Helena po raz pierwszy w życiu była nieszczęśliwą. Teraz dopiero zrozumiała, co to jest nieszczęście, w obec którego była zupełnie bezsilną.

Chwilami przypuszczała możliwość utraty zmysłów, lecz nie lękała się tego bynajmniej. Wszystko było jej obojętnem, oprócz tego bolu, którego doznawała po raz pierwszy, a nie spodziewała się doznać nigdy.

Nie miała sił, aby ruszyć się z miejsca, które jej wciąż to samo przypominało. Siadywała godzinami nieruchoma, zapatrzona przed siebie, bezmyślna. To znowu odzyskiwała świadomość tego co ją spotkało i płakała jak dziecko, długo, aż do zmęczenia. Wtedy usypiała i śniła naprzemiany to rozkosz, to ból.

Widziała jak na dłoni całe swe życie minione i wydało jej się marnem, nie wartem dobrego nawet wspomnienia.

Używała — lecz szczęścia nie zaznała nigdy. Raz go zapragnęła i nie osiągnęła. Czuła się pokrzywdzoną od losu strasznie, niezasłużenie.

Cóż, że dla niej ludzie tracili głowy, majątki, życie nawet? Czyż była temu winną? To zwykła rzecz na świecie; o piękną kobietę dobijali się ludzie zawsze, od początku stworzenia, narażali życie własne, czyhali na zgubę drugich, rywali.

Miałaż cierpieć za to, że była piękną? To byłoby niesprawiedliwem. Przyszła na świat piękną, o piękności tylko mówiono jej od kolebki. Innych zalet nikt w niej nie widział, nikt ich nie szukał; nie wiedziała nawet czy istnieją. Czyż żądał od niej kto kiedy czego więcej, jak piękności? Byłaż więc winną, że tak swej urodzie zaufała, jej tylko jedynej?

Prawda, matka przed śmiercią żądała od niej porzucenia drogi płochych zachcianek, szukania tryumfów, igrania z sercami... Tak, lecz czemuż nie umiała wskazać innej? Łatwo to powiedzieć: robisz źle... Alboż matka postępowała inaczej? Czyż nie ona popchnęła córkę w ten szalony taniec życia? Potem płakała nad jej postępowaniem, ale łzy, to za mało do przenaturzenia kogoś. Usprawiedliwiała się Helena, iż nie zrozumiała łez matki i tego tajonego cierpienia, które ją przedwcześnie zabiło. Nie miała jeszcze pojęcia o życiu, znała tylko jedną jego stronę, taką piękną, ponętną, obiecującą rozkosze zdobyczy, tryumfów... Mogłaż się tym pokusom oprzeć? Łzy matki, załamywanie rąk, śmierć jej nawet, nie były dość potężnemi, by ją wstrzy-

mać, z gruntu przerobić. Posądzała matkę o... zazdrość. Dla tego, że sama porwała się, aby jej rywalką zostać, posądzała i ją o podobne pobudki... Dziś pojęła lepiej ukryte, słabo wypowiedziane myśli matki... za późno! Jeśli matka, mając dłuższe życie, doświadczenie za sobą, nie umiała powstrzymać Heleny od powziętych postanowień, jakże ona sama, dziecko prawie, popsute pochlebstwami, napojone pustymi frazesami o piękności, miało było pojąć całą doniosłość życia?

A August? Z nim mogła być szczęśliwą; on by ją powiódł na dobrą drogę, otoczył silnem ramieniem i on jeden był innym niźli ci wszyscy, których dotąd znała. Tak, lecz nie kochała go wcale... Był za dumnym, aby wziąć kobietę kochaną, lecz nie kochającą, nie wzajemną... Onaby także na to zgodzić się nie mogła... W obec niego nie potrafiłaby być nieuczciwą. Co innego hrabia Z., mąż jej. Temu przysięgła fałszywie bez wahania.

Cóż winna, że serce tak późno się w niej odezwało? Przyspieszyć jego obudzenie się, to nie było w jej mocy. Ale teraz, pokochawszy pierwszy raz w życiu, mogła być prawdziwie szczęśliwą. Czemuż los nie pozwolił jej zakosztować tego nektaru? Zenon jej nie kochał...

Płakała rzewnie na myśl o tem.

W pół nieprzytomna, siedząc długie godziny w oknie i błądząc wzrokiem po górach dalekich, lasach czerniących się na horyzoncie, po lazurze nieba, łudziła się chwilami, że Zenon jest niedaleko,

że przyjedzie, że będzie ją kochał, nie opuści nigdy. Uśmiechała się do tych sennych widziadeł, aby później w tem straszniejszą popaść rozpacz.

Dnie upływały szybko. Chłodne jesienne noce, ranki, wieczory, deszcze częste, zmusiły wreszcie Helenę do opuszczenia gór.

Powróciła do miasta blada, znękana, postarzała.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z siostrą. W przystępie wielkiej boleści, żalu, smutku, miała ochotę zobaczyć się z nią teraz. Wszak upoważniła ją do spotkania w nieszczęściu. Teraz była na prawdę nieszczęśliwa. Może siostra potrafi ukoić jej ból, pocieszyć...

Los sprzyjał Helenie. Bronka była z mężem i dziećmi w mieście.

Nie namyślając się długo poszła Helena do siostry. Zastała ją samą.

Bronka zdziwiła się, usłyszawszy od służącego nazwisko siostry, lecz ledwie ją zobaczyła, zrozumiała powód wizyty.

Nie mówiąc słowa, chwyciła ją w objęcia i rozpłakała się. Helena również nie mogła łez powstrzymać.

Pocieszała ją, nie pytając o powód smutku; wskazywała nową drogę życia, zapraszała do siebie na wieś. Helena słuchała słów jej serdecznych, lecz nie odpowiedziała nic. W końcu rzekła:

— Nie wiem nic, co zrobię, jestem zupełnie bezsilną, czas mnie dźwignie trochę, zobaczymy, czy potrafię się nawrócić...

— Nie mów tak, moja droga; chciej tylko, a będzie wszystko dobrze... Jedź ze mną...

— Łatwo to powiedzieć: chciej! Ja już niczego nie pragnę; śmierć byłaby jedynem dla mnie dobrodziejstwem.

— Ach, Helenko!

— To trudno, moja kochana, stara jestem, poprawić się, będąc tak popsutą, nie łatwo będzie... może wprost niepodobnem...

— Spokoju ci potrzeba, oddalenia się od gwaru miejskiego, od ludzi, którzy tylko wesołość cenią. W samotności poweźmiesz silne postanowienie i zaczniesz żyć inaczej niż dotąd, na nowo.

Z bolesnym uśmiechem odpowiedziała Helena.

— Nie łudź się, moja droga, czuję, żem już na nic nie zdatna, o poprawie nie ma co myśleć. Nie mam do tego sił, nie jestem stworzona do samotności i zaparcia się...

— Ach, jaką przykrość mi sprawiasz, mówiąc tak — zawołała Bronka — chciej tylko, a potrafisz wszystko. .

— Być może, że recepta twoja dobrą jest, lecz czy sądzisz, że ja *chcieć* mogę?

— Jakto? Ty byś nie chciała zmienić trybu życia?

— Nie wiem jeszcze, lecz zdaje się, że nie. Trzeba myśleć o tem tylko, jak przepędzić resztę lat, które mi pozostają... Dla ludzi bez nadziei pijaństwo jest najpowszedniejszą ucieczką...

— O, Helenko!...

W tej chwili otwarły się drzwi i rozmowę sióstr przerwał głos Zarzyckiego:

— Patrz, Broniu, jakiego gościa ci prowadzę!

Do pokoju wszedł Zarzycki z Augustem.

Helena powstała zmieszana niespodzianym widokiem człowieka, który jej kiedyś przepowiedział rozpacz i ból zawiedzionej miłości. Od tego dnia nie spotkali się nigdzie oko w oko. Dziś dopiero, dziś właśnie, kiedy musiała mu przyznać dar proroczy, stanął przed nią, jakby umyślnie po wyznanie tej smutnej prawdy, która ją zabijała.

Jedno spojrzenie wystarczyło mu; poznał ile kobieta, której życie, szczęście niegdyś ofiarował, cierpiała. Nie znał szczegółów, nikt mu o nich nie mówił, lecz domyślił się wszystkiego.

Gdyby był mściwym, mógłby w tej chwili powiedzieć sobie: Nemezis wymierzyła karę za to wszystko, co wycierpiałem. Nie myślał o tem.

Helena nie mogła pokryć wzruszenia, które ją opanowało. Była w towarzystwie ludzi po raz pierwszy zmieszaną.

Rozmowa szła zrazu ciężko, lecz wkrótce ożywił ją August i wciągnął w nią Helenę. Gdy dotknęli życia ludzkiego w ogóle, rzucała zdania przeniknięte na wskróś pesymizmem.

Zbył ją uśmiechem pobłażliwym, jak gdyby słuchał sądu dziecka o wielkich zagadnieniach stworzenia.

To ją podrażniło.

— O, wiem, że pan jesteś nieprzyjacielem pesymizmu i poezyą różowo barwisz sobie świat. Nie

każdemu to dane, lecz nie wiadomo kto bliższym jest prawdy?

— Poezya istotnie różowo barwi świat, ale nie może zakryć jego stron ujemnych. Powinniśmy w niej szukać natchnienia, siły do życia, lecz nie fałszu. Pesymizmu istotnie nie lubię, bo jest wytworem słabości...

— Nie każdemu danem jest być silnym.

— Przeciwnie, każdy nim być może—byle chciał, byle pracował myślą i życia nie brał na żart.

— Pozwól mi pan zostać pesymistką i życie brać na żart, dla użycia.

— Niemam prawa wpływać na poglądy pani, wypowiedziałem tylko moje, będąc do tego początkiem rozmowy upoważnionym.

Mówiono o czem innem.

W Helenie myśl pracowała pospiesznie, gorączkowo. Z żalu po stracie ostatniej otrząsała się nagle i budziła się w niej dawna kobieta. Czuła się bezsilną w obec tych ludzi, wśród których się w tej chwili znalazła—dorównać im nie mogła, do nauki nie była zdolną. Natura dumna, samowolna, popsuta panowaniem, nie pozwoliła na upokorzenie się. Straciła wiarę w możność zdobycia spokoju i względnego zadowolenia na drodze, po której oni kroczyli. Czuła się w obec nich małą, do niczego nie zdolną. August, Bronka, mąż jej, to byli ludzie doskonali zapewne, lecz dla niej, niezrozumiali. Czuła, że gdyby została w ich towarzystwie, byłaby skazaną na milczenie i posłuszeństwo, na schylanie głowy przed ich rozumem i... cnotą.

Cnota! Nie wątpiła teraz w jej istnienie, lecz tłumaczyła się sama przed sobą: jam do niej nie stworzona... za późno...

Gdy Bronka rozmawiała z mężem, Helena zbliżyła się do Augusta.

— Proroctwo pańskie spełniło się... Możesz pan być zadowolonym jako pomszczony—rzekła.

Nie spostrzegła, jak twarz jego drgnęła kurczowo. Ale spokojnie, choć nie bez cienia współczucia odpowiedział.

— Nie pragnąłem zemsty nigdy. To uczucie takie nizkie, zadowolenia stanowczego nie daje.

Spojrzała z zdziwieniem.

— Nigdy więc nie pragnąłeś pan zemsty?

— Nigdy w życiu.

— Dziwny pan jesteś...

— Nie, pani, lecz staram się być uczciwym. W tem jednem szukam zadowolenia...

— I nie ciekawyś pan usłyszeć, co teraz myślę o życiu i o sobie?

— Słyszałem przed chwilą — rzekł z pewnym smutkiem.

— Widzisz pan — ciągnęła dalej z udaną wesołością—jak niepoprawną jestem.

— Bo inną pani być nie chcesz — rzekł stanowczo.

Zdawało jej się, że ją przygniata swą powagą, spokojem, tą wielkością uczciwego człowieka. Miałżeby chcieć pokazać jej, ile jest wyższym, że tylko ubolewać może nad takiemi istotami jak ona? Cała jej zła natura buntowała się w tej chwili

znowu. Nie mogła ścierpieć tej litości, którą już raz rzucił jej w oczy i trwał w niej dotąd. Jacy oni wielcy, nie skalani, nie doścignieni—pomyślała— ja taką nigdy być nie potrafię...

— Ty piękna, uwielbiana—szeptał jej szatan— ty miałabyś być pokutnicą, cha, cha, ależ to śmieszne, nad wyraz śmieszne!... I cóż za to zdobędziesz? Doskonałości nigdy. Pokuta tak późna nie zmaże tego, co zawiniły najpiękniejsze lata. Tyś do tego nie stworzona...

— Byłam zrazu złamana, bezradna, zniechęcona do życia—mówiła Helena nie pytana—lecz teraz czuję wracające siły. Może ich mniej mam niźli dawniej, lecz starczy jeszcze, aby okrasić resztki życia...

— Pani!—przerwał August, a w głosie jego słychać było żal i prośbę.

— Za późno! Ślimacze życie, choćby najzacniejsze nie dla mnie. Jestem za dumną, aby z resztkami sił, zaczynać życie nowe. Do dawnego wystarczą... Va banque!

Gorycz z uporem mieszały się w tych słowach. August widział, że ogień zły zapalał się w oczach Heleny, rzucał rumieńce na jej twarze, ożywiał całą postać, która nie dawno jeszcze była prawie złamaną.

— Przez pamięć...

Nie dała mu domówić.

— Daj pan pokój, nie chcę nic słyszeć, boję się nowego wahania... Czas raz skończyć życie—ja jedną drogą tylko znałam, innej nie obiorę. *Va banque*!

Bronka usłyszała ostatnie słowa i z trwogą zbliżyła się do siostry.

— Bądź zdrowa, siostrzyczko moja dobra... może się nie rychło zobaczymy, może nigdy... Nie potępiaj mnie zupełnie.

Uścisnęła ją i nie czekając odpowiedzi wybiegła z pokoju.

— Biedna kobieta—szepnął August.

— Biedna!...

Cisza panowała długo w tym pokoju, w którym wszyscy myśleli tylko o nieobecnej i w duchu płakali nad nią.

XII.

Kilka lat jeszcze mówiono o pięknej Helenie, dodając do przymiotnika, który treść jej życia stanowił, zabójcze „niegdyś.” Powoli wszakże pamięć o niej zacierała się i jeśli ją wspominano to rzadko tylko i z niechęcią.

Historya jej przestała być ciekawą.

Jeszcze kilku ludzi pociągnęła ku sobie resztkami piękności, a złośliwi dodawali—fortuną. Zrujnowani panicze najchętniej do niej się zbliżali. Posądzano ich głośno o interesowność.

To zabijało Helenę w opinii świata i tak nie życzliwej dla niej.

Później opowiadano, iż piękna niegdyś hrabina rozmiłowała się w literaturze i trzymała stale lektora. Może to były plotki tylko. Helena w kraju nie mieszkała nigdy, w kąpielach unikała znajomych, przyjmowała tylko cudzoziemców.

Z siostrą nie korespondowała wcale. Chciała by o niej zapomniano.

Nie była szczęśliwą. Cierpiała wiele. Ból po ostatniej, jedynej stracie, wracał ciągle. Wtedy szukała w szałach zapomnienia. Z kolei przychodziły chwile świadomości i męczyły ją niesłychanie. Czuła wtedy wstręt do samej siebie, pogardzała sobą, zamykała się na całe dnie, nie wpuszczała nikogo, prócz starej służącej. Miewała sny gorączkowe, w których wołała Augusta, Zenona, szamotała się, wiła niespokojnie.

Po takich napadach czuła ogromny ubytek sił. Lekarze zalecali rozmaite środki, zmieniali kąpiele i wody, wymagali bezwarunkowego spokoju.

Słuchała ich czas jakiś, dopóki zły duch namiętności nie opanował jej. Nie miała sił do zwalczenia tej potęgi i znowu rzucała się w wir szału, dopóki wyczerpana, bezsilna nie padła w rozpaczliwy stan agonii niemal.

Kilka lat takiego życia, ciągłych walk moralnych, cierpień, zużyły siły Heleny zupełnie.

Ulegając namowom lekarzy wyjechała do wód, u których dotąd nie była. Robiono jej nadzieję, że nerwy się uspokoją i siły w znacznej części wrócą.

Miała domek mały dla samej siebie, trochę oddalony od zakładu zdrojowego, cichy, otoczony ogródkiem i podobnymi domkami. Sąsiedztwo dokoła spokojne było. Prawie nikogo nie widywała. Dom na przeciw jej okien był pusty, tylko czasem stara stróżka przychodziła sprzątać i zamiatać ścieżki ogrodu.

Helena przypatrywała się jej pracy ciekawie. Bawiła ją ta krzepka, ruchliwa staruszka, mrucząca

na liście, które opadały na ścieżki. Czasem rozgniewana goniła kota, który zwykł wygrzewać się na słońcu w pośród kwiatów, lub rozgrzebywał piasek na środku ścieżki. Wtedy Helena uśmiechała się i przywoływała staruszkę, aby datkiem jakim uśmierzyć jej gniew.

Rzadko wychodziła z domu.

Pomimo obietnicy lekarzy, czuła ubytek sił. Cały więc dzień przesiadywała u okna, lub w ogródku przed domem, mając przed sobą klomby świeżego kwiecia. W sąsiednim ogródku były róże pełne kwiatów. Lubiła je bardzo i kazała sobie co dnia parę przynosić. Przy tem rozmawiała z staruszką i z uśmiechem wypytywała, czy kot nie zrobił nowej psoty. To była jedyna osoba, z którą rozmawiała chętnie.

Obawiała się sąsiedztwa, gdy dom dotąd pusty zostanie wynajęty. Staruszka uspokajała ją. Już od dwóch lat przyjeżdżają tu jacyś panowie. Jeden z nich siwy, drugi młody, pewno syn. Obaj porządni i spokojni ludzie.

Mieli niebawem przybyć.

Helena widziała, jak staruszka nie mogła sobie dać rady z porządkowaniem domu. Musiała wziąć pomocnicę. Ale o różach pamiętała.

— Przyjadą za parę dni—mówiła—jutro mają przysłać rzeczy, a ja ledwo mogę dać rady... Jeszcze ten kot przeklęty...

Odwołano ją do roboty.

Helena pomimo zapewnień starej, niechętnie

myślała o sąsiedztwie. Żałowała, że nie wynajęła obu domów. Byłaby miała zapewniony spokój.

Widziała jak znoszono kufry i niektóre sprzęty, których widocznie dotąd brakło. Rozdrażniona tem, wcześniej położyła się i usnęła.

Rano czuła się silniejszą. Przed południem, gdy słońce wypiło rosę, kazała sobie ustawić fotel w cieniu i usiadła, prosząc by nikt nie przychodził aż do obiadu. Chciała być samotną.

Miała sen spokojny, jak dawno już nie. Śniła jej się matka uśmiechnięta i siostra, która z radością tuliła ją do siebie.

To ją cieszyło niezmiernie. Siedząc w ogrodzie przypominała sobie szczegóły snu. Nie myślała o rzeczywistości, zapomniała, iż matka rozstawała się z nią z żalem. Czuła ją blizko siebie, Bronkę... Kochali ją...

Senne marzenie powtórzyło się na jawie.

Przymknęła oczy, aby go nie stracić.

Obudziły ją dopiero głosy.

Spojrzała przez krzewy zasłaniające sztachety do sąsiedniego ogrodu. Jacyś dwaj mężczyźni rozmawiali z sobą. Potem jeden z nich zapytał starej stróżki dla kogo ścina róże. Powiedziała, że dla chorej pani hrabiny, która mieszka obok. Prosiła, aby jej tego nie bronili.

Słuchała z uwagą co powiedzą na to.

Podniosła się trochę, aby lepiej dojrzeć sąsiadów.

Byli odwróceni. Stara wskazywała im ręką domek, w którym hrabina mieszkała. Obejrzeli się.

Helena dźwignęła się jeszcze silniej, oczy wpatrzyła w tych dwóch...

Krzyk wydobył się z jej piersi, padła na fotel, ręką chwyciła się za serce, jakby uczuła nagły ból w niem.

Po chwili ręka opadła, oczy rozwarte patrzały osłupiałe wprost, na twarzy rozlała się bladość jednostajna.

Staruszka, otrzymawszy zadawalniającą odpowiedź od panów, poszła zanieść róże dobrej pani, która nie skąpiła datków i tak chętnie słuchała żalów rozwodzonych nad psotami kota.

Dwaj mężczyźni rozmawiali dalej.

Krzyk stróżki przerwał im rozmowę. Pospieszyli za nią.

Na zakręcie ścieżki, ujrzawszy leżącą w fotelu Helenę, zatrzymali się nagle.

Stróżka szlochała głośno.

— Helena—szepnął August.

— Hrabina—wymknęło się Zenonowi.

Spojrzeli na siebie.

— Znałeś ją?—zapytał pierwszy.

Zenon tylko głową poruszył na znak potwierdzenia.

Stali w milczeniu z zwieszonemi głowami.

August szeptał modlitwę za spokój duszy nieszczęśliwej.

— Co za zrządzenie losu — rzekł później— że nas właśnie obu razem zobaczyła w ostatniej chwili...

— Cierpiała wiele... Ostatnie spojrzenie nie oszczędziło jej największej boleści.

— Biedna, nieszczęśliwa kobieta... Gdyby od przebaczenia mego zależało jej odkupienie, miałaby je już w tej chwili...

KONIEC.

